

Silny Samson



ELIZA ORZESZKOWA

Silny Samson

Jeżeli kiedykolwiek zechcesz czytelniku znaleźć w mowie ludzkiej jednoznacznik wyrazu: żyda, weź dykcyonaryusz historyczny, szukaj pod literą *k*, a gdy znajdziesz imię: *Krezus*, podkreśl je i zapamiętaj, albowiem posiadasz już wiedzę, której żądałeś. Synonimem żyda jest: *Krezus*.

Żyd i Krezus, to zupełnie wszystko jedno. Każdy przecież wie, że pomiędzy Żydami są Rotszyldowie przedewszystkiem, a następnie też i inni bankierowie, posiadający nie wiem już jaką ilość milionów i pałace, pełne złocen, rzeźb, kobierców, zwierciadeł i t. p. Ztąd wniosek prosty, jak dwa a dwa cztery, że plemię, wydające z siebie Rotszyldów i owych innych bankierów, jest bardzo bogate, i calutenkie opływa w miliony, pałace, złocenia, rzeźby, zwierciadła i t. d., a jeżeli którykolwiek z synów plemienia tego nie opływa w to wszystko, to dlatego tylko, że sam nie chce, bo obyc się może byle czém; gdyby jednak chciał, opływał-by z pewnością.

Bogate plemię! szczęśliwe tedy plemię! Uznaję w zupełności to szczęście jego, i temu tylko dziwię się, dlaczego Szymzel, syn Gerszuna, a mąż Cipy, nic a nic o bogactwie tém i wynikającym z niego szczęściu nie wie. Widząc tę zupełną nieświadomość Szymzela, myślałam z razu, że udaje on, kryje się ku lepszemu wyprowadzeniu w pole gojów, pomiędzy którymi wybrał już sobie z pewnością Meropią jakąś, czyli ofiarę, na wyszukiwanie przez zarząd kahalny skazaną i sprzedaną, o których-to *Meropiach*, czyli ofiarach, tyle u nas mowy było w ostatnich czasach. Po bliższém jednak przypatrzeniu się, z najgłębszém zdziwieniem mém przekonałam się dowodnie, że Szymzel w istocie i najszczerzej *Meropii* żadnej nie posiada, a o bogactwie i wszelkich szczęśliwościach, których ono źródłem jest, nic wcale nie wie. Co się tycze złocen, rzeźb i zwierciadeł, wątpię nawet, czy Szymzel widział je kiedykolwiek w życiu swoim, chyba, że zwierciadłem nazwiemy lusterko, mające ćwierć łokcia długości, które w drewnianych ramkach, bez śladu złocen ni rzeźb, wisi nad kuferkim Cipy, a ku któremu sześćioletnia Esterka, dziecię Szymzela, wspina się po kilka razy dziennie, w celu zapewne zobaczenia ognistych kędziorków swych, błękitnych oczu, śmiejących się do lusterka, i bladej twarzy ojca, który uśmiecha się, patrząc na lusterko i na nią.

O innych więc zwierciadłach, nad to w którym odbija się zawsze kawałek brudnej ściany, a czasem figlarny nosk Esterki, Szymzel nic a nic nie wie, tak jak zresztą nie wie o mnóztwie zjawisk i rzeczy, choćby dość pospolicie istniejących na tej ziemi, albowiem wyznać to muszę z wielkim wstydem, uczuwanym za tę postać obrazka mego — zakres rzeczy i zjawisk, znany Szymzelowi, jest niezmiernie ciasnym, jakkolwiek zresztą z nieświadomości tej rzeczy ziemskich, sprawiedliwością rządząc się, wyłączyć należy izbę, mającą dziesięć stóp długości a pięć szerokości, którą Szymzel zna dokładnie i we wszystkich jej szczegółach, raz dla tego, że mięszka w niej od lat dwunastu, następnie, iż niema w niej nic do poznawania, prócz dwóch łózek, piętrzących się pościelą burakowej barwy, ogromnego pieca z czarnym jak otchłań otworem, wiecznie przy piecu suszących się szmat odzieży, okienka w spróchniałych ramach, stołu pod okienkiem, stołków trzech, kota jednego i pięciorga dzieci.

Te ostatnie szczególniej Szymzel zna dobrze, bo bardzo je kocha. Jakże-by ich zresztą mógł nie kochać, skoro są to wszystko dzieci zupełnie niepospolite, piękne na podziw, rozumne nad wiek, a dobre!... no, co tu już o tém gadać!... Gada jednak o tém długo i często Cipa, a Szymzel nie przeczy jej bynajmniej. Owszem, czuje on sam głęboko całą niepospolitość dzieci swych, i cieszy się nią nie mniej od Cipy, choć w milczeniu,

tworzącym sprzeczność z wymownością ich matki. Każde z dzieci sprawia mu tak wielkie, a coraz nowe pociechy! Esterka naprzykład iskrą jest, nie dzieckiem. Trzewiczki nosi ona tylko w sobotę, i to jakie! żal się Boże! wybrane z kosza starej lachmaniarki, znoszone już przez bogate dzieci jakieś, czasem atlasowe, albo z cieniutkiej, safianowej skóreczki, czasem błękitne albo ponsowe, ale podarte bardzo, i sznurkami, zamiast tasiemek, związywane. Ale w trzewiczkach tych, lub bez nich, drobne jej nóżki drepcą po izbie, wskakują na matczyne kuferek, skaczą po kamieniach, okrywających podwórko, a czasem zwieszają się na płocie, odgradzającym podwórko od sąsiedniego domowstwa, w ten sposób, że wydaje się, jak gdyby były tam bez swęj właścicielki; wyższa bowiem połowa ciała Esterki zwisa ku dołowi z jednej strony płotu, a niższa z drugiej. Włosy jej, rozczochrane zawsze do ostatnich granic, wyglądają jak zwiłkane z sobą kręte płomyki, a są tak wielkie, że mała okrągła, twarzyczka jej, z kolorowym punkcikiem w miejscu ust, wydaje się pośród nich zupełnie malutką. Taką jest Esterka, trzecie z rzędu dziecko Szymusza.

Doskonale dobraną z nią parę tworzy brat jej, młodszy o rok, *Mendele*, którego jedynymi indywidualnymi cechami zdają się być dotąd: spencerek z różowego płócienka i wiecznie z za niego wymykające się, a ku ziemi zwisające, białe tasiemki, na które-to tasiemki wciąż następując, Mendele, często pada i przeraźliwym krzykiem rozdziera nawskroś tę malutką ilość powietrza, która napelnia izbę i ciasne podwórko. Że jednak na krzyk ten nikt a nikt najmniejszej uwagi nie zwraca, trwa on zazwyczaj krótko. Mendele samodzielnie powstaje z upadku, poprawia malutką jarmułkę na włosach, tak jak u siostry, ognistych i ogromnych, i w towarzystwie Esterki rozpoczyna na nowo po płotach, stosach śmiecia i różnych kołyszących się deskach, najrozmaitsze akrobatyczne ćwiczenia, na które Szymusz spogląda przez okno z cichym uśmiechem głębokiej radości. Mendele zresztą skończy już, niestety! wkrótce tę, najpiękniejszą zapewne w życiu swém, epokę bezgranicznej swobody i niezmaconej wesołości; za parę miesięcy bowiem, będzie on już miał lat pięć, zmuszonym więc zostanie rozpocząć prawidłowo prowadzone kursa naukowe. I tak już z rozpoczęciem ich spóźnił się znacznie. Przed rokiem, coś około czwartej rocznicy urodzin jego, była już mowa pomiędzy nim a rodzicami o posyłaniu go do *Hederu*. Podówczas przecież Mendele, na uczynione mu w tej mierze przedstawienie, w żaden sposób zgodzić się nie chciał. Nie chciał iść do *bederu* — i koniec. Schwycił się obu piąstkami za spodnicę matczyną, przysiadł, stopami wparł się w ziemię, wrzasnął ogromnie, strumień łez z błękitnych oczu na rumiane policzki wypuścił — i nie poszedł! Cipa gniewała się zrazu i martwiła wstrętem tym, okazanym przez czteroletniego syna do nauki, i przedstawiciela jej *Melameda*, o długiej brodzie, plecach przygarbionych i ponurém wejrzeniu. Pocieszył ją jednak mąż, mówiąc:

— Kiedy ja byłem w jego wieku, ja po ulicach jeszcze biegałem i bawiłem się... jednak, ot do czego później doszedłem... dojdzie i on kiedyś, a tymczasem niech jeszcze trochę podrośnie!

Starszy za to syn Szymusza, dziewięcioletni Enoch, od pięciu już lat uczęszcza do *bederu*, umie wybornie czytać po hebrajsku, biegły jest w znajomości *Humeszu*, czyli Mojżeszowego Pięcioksięgu, a od roku wstąpił już nawet na szczebel wyższej całkiem nauki, rozpoczynając studia nad Talmudem i komentarzem *Rasze*. Niezwykle to postępy! Cóż, kiedy czarne oczy wysmukłego dziecka rozwarły się też niezwykle szeroko i, niezwykle głęboko zapadłe, świecą wśród ściągłej, bladej twarzy, blaskiem gorącym i tak jakoś smutnym, jakby się ciągle na coś skarżyły. Skarżył bo się też z razu mały Enoch na srogość *melameda* swego, pokazując uszy swe, tak zaczerwienione od częstego ich targania, że świeciły jako rubiny w gęstwi czarnych włosów. Cichutko mówił też matce, że bolą go plecy i głowa: pierwsze od uderzeń *melamedowej* pięści, druga od nadzwyczajnej ilości wiedzy, gromadzącej się w nazbyt małej stosunkowo przestrzeni dziecięcego mózgu. Skargi te Enocha, nie otrzymując przecież żadnego pocieszającego rezultatu, ustały wkrótce.

Melamed, nauczający Enocha, najtańszym był ze wszystkich Melamedów, istniejących w mieście Ongrodzie, pomimo zaś, że wśród narodu żydowskiego istnieją Rotszyldowie i inni owi bardzo bogaci bankierowi, Szymusz i Cipa nie byli w możności opłacać Melameda takiego, który-by z większą łagodnością charakteru i ogładą obyczajów łączył też i większe wymagania. Enoch tedy, pomimo, że uczy się dobrze i umie bardzo wiele, ale nie uczuwa tego wewnętrznego zadowolenia, które towarzyszy zazwyczaj szczęśliwym

podróżnikom po krainach wiedzy. Nie ma on wcale pozoru, ani szczęśliwego, ani zdrowego dziecka. Po powrocie z hederu, siaduje najczęściej w kącie izby na ziemi. Zrudziałą czapeczkę nasuwa na czoło (bo bardzo nabożnym będąc, nie chce ani przez chwilę zostać z odkrytą głową) i, albo w zamyśleniu głębokim rozgrzebuje pałeczką śmiecie, zalegające kątem izby, albo, trzymając na kolanach wielkiego burego kota, z wolna przesuwa po sierści jego małą, chudą rękę, i wielkimi swemi, zapadłemi, smutnie błyszczącymi oczyma, spogląda w złotawą i przyjaźnie ku niemu mrugającą, źrenicę kocia. Stworzenie to, wzięte przez Cipę na ulicy małym, zjeżonym i z głodu mrącym, kocięciem, wyhodowane razem z dziećmi swjej właścicielki, posiada w rodzinie, oprócz Enocha, jedną jeszcze istotę, do której czuje żywą sympatyą.

Istotą tą jest najstarsza córka Szymusza, dziesięcioletnia Liba, wysmukła, szczupła i od pięciu już lat kaszląca. Liba ma twarz bladą i znamionującą chorobliwe usposobienie, oczy jasno szare, z wyrazem cierpiącym i cierpliwym, włosy lnianej barwy, gładkie, i z tyłu głowy splecione w krótki, sterczący warkoczyk. Uważana w domu za zupełnie dorosłą już osobę, Liba jest bardzo poważna i rozważna, zastępuje przy gospodarstwie matkę, po całych dniach w domu nieobecna, i piastuje młodsze rodzeństwo. Pali ona w piecu, chodzi po wodę do poblizkiej studni, strawę gotuje, raz w tydzień izbę zmiata, sto razy na dzień przechodzi najróżniejsze katusze z powodu Esterki i Mendelka, których ustawicznie szukać musi, wołać, strofować, albo pocieszać; a wszystkie funkcje te spełniając z niezmierną powagą i wytrwałością, obraca w chudych dłoniach druty wełnianych pończoch, czasem żółtawych, czasem czarnych, albo błękitnych, które robić nauczyła ją matka przed laty sześciu, które też od lat sześciu robi ona dla matki, siebie i rodzeństwa, a czasem, w porach trudnych przesileń finansowych, i na sprzedaż. Niekiedy Liba uczuwa się zmęczoną, siada na niskim stołeczku pod piecem i ręce trzymające pończochę składa na kolanach. Spoczynki te jednak trwają krótko. Najczęściej bowiem wtedy właśnie, dwuletniemu Lejzorkowi przychodzi ochota spacerowania po izbie. Spaceruje wtedy, gwarząc głośno i energicznie machając rączkami, potem pada i wrzeszczy okropnie, a Liba wstaje, podnosi go z ziemi i kołysze w objęciach póty, dopóki dziecko nie uspokoi się i nie zaśmieje do pochylonej nad sobą twarzy siostry. Wtedy Liba składa je w kołysce i chce odejść, ale Lejzorek ponownie wydana z piersi nutą najżałośniejszego minoru objawia żądanie, aby pozostała przy nim. Kołyska stoi tuż przy łóżku Cipy, wysokim samo przez się, a podwyższonem jeszcze dwiema leżąciami na niem pierzynami. Libie, jakkolwiek wysmukłą jest względnie do wieku swego, na łóżko to wejść trudno. Gramoli się jednak na nie, siada na szczycie pierzyn, nogi opiera o brzeg kołyski, i robiąc pończochę swą, może już wygodnie z wysokiego stanowiska tego doglądać Lejzorka, który usypia, ale od chwili do chwili otwiera jeszcze oczy, patrząc, czy siostra jest przy nim. Nie wiem, czy te, otwierające się co chwila, senne oczy dziecięce, spostrzegają, jak wydatnie, a zarazem dziwnie jakoś, głowa poważnej dziewczynki z bladą twarzą, spuszczoną powieką i sterczącym z tyłu warkoczykiem, odbija od burakowego tła piętrzących się dokoła niej pierzyn i poduszek.

Takimi są dzieci Szymusza, lecz kim i jakim jest sam Szymusz?

Kim jest? W pytaniu tém zawierają się kwestye urodzenia i tego wyższego, lub niższego stanowiska, które człowiek zajmuje na drabinie hierarchii społecznej.

Co do urodzenia, nie umiem powiedzieć państwu dokładnie, kim był rodzic Szymusza. Woziwodą podobno, czy drwalem; jedni mi mówili tak, a drudzy inaczej, lecz wszyscy zgadzali się w twierdzeniu, że musiał być bardzo ubogim, skoro syn jego edukacją swą naukową rozpoczął w Talmudorze, to jest w szkółce bezpłatnej. Co zaś do stopnia hierarchii, że wysokim on być musi, wniesć możemy z owych słów Szymusza samego, do żony powiedzianych: „ot, do czego ja doszedłem!” Człowiek, który wyrazi te wymawia z dumą i zadowoleniem, do czegoś ważnego i wysokiego dojść musiał. Szymusz posiada istotnie to stanowisko, które przywykliśmy wszyscy uważać za wysokie i szacunek, a nawet pewną wdzięczność ogółu budzące, jest on bowiem... Sprawię wam, czytelnicy, niespodziankę prawdziwą, gdy powiem, że Szymusz jest — uczonym.

Wiadomość ta nie stanie w sprzeczności najmniejszej z uprzedniem twierdzeniem mojem o tém, że krąg rzeczy i zjawisk, znanych Szymuszowi, jest nadzwyczaj ciasnym, jeżeli tylko zechcecie z pamięci i wyobraźni swjej wykluczyć w tej chwili wszystkie wiadome wam akademie, uniwersytety i wysokie instytuty wiedzy. Zakłady naukowe, z których

Szymszel uczoność swą zaczerpnął, nazywają się: Talmudora, Eszybot i Bet-ha-Midrasz. Tworzą one stopnie pełnie tak, jak szkołka elementarna, gimnazyum i akademia. Nie wszyscy żydzi stopnie te przechodzą. Są tacy, którzy, dla braku zdolności, albo ocho-ty, zatrzymują się na pierwszym, albo na drugim. Szymszel nie zatrzymał się i przeszedł wszystkie. Co więcej, dosięgnawszy na pierwszym ze stopni tych lat wieku swego dzie-sięciu, na drugim trzynastu, na trzecim ośmnastu, a w ośmnastym roku ożeniwszy się, nie przestał jeszcze uczyć się. Chodził do Bet-Midraszu i uczył się, siadywał wieczorami i nocami całymi w izbie swój, przy stole stojącym u okna, i... uczył się.

Czego mianowicie uczył się? Religii swój, dziejów jój, niezmiernie licznych, a subtel-nych jój odcieni, metafizyki w niej zawartej i przyozdabiających ją podań, przypowieści, axyomatów, legend, których część znaczna — czy uwierzycie państwo? — porównaną być może do pereł i kwiatów ludzkiej myśli. Szymszel więc jest — jak-by to powiedzi-ć? — teologiem-metafizykiem, a w części też i dziejoznawcą, w tej części, która ściśle i bezpośrednio dotyczy dziejów ludu żydowskiego i wiary jego. Po-za tą dziedziną wiedzy, w której dosięgnął wysokiego bardzo stopnia biegłości, nie wie on o niczym a o niczym, i po za czynnością ustawicznego ćwiczenia się w swój specjalności, nie czyni on nic a nic. Absolutne zagłębianie się to w specjalności, dość oderwanej od potrzeb codziennego bytu, wprowadziło-by codzienny byt Szymszela i pięciorga jego dzieci w trudności nie-rozwikłane, gdyby nie ożenił się on był, mając lat ośmnaście, z Cipą, która miała lat sześćnaście; gizelką była w dużym sklepie korzennym, na handlu więc i manipulacjach jego znała się, a zostając żoną uczonego (dzięki swatowstwu kupcowej, u której służyła), uczyła się tak uszczęśliwioną i zaszczyconą tém małżeństwem, iż człowiekowi, który ją podobnie świetnym losem obdarzył, oddała się z duszą i ciałem, z miłością tkliwą a nie-śmiałą, ze czcią głęboką i niezmordowaną ochotą do poświęcenia się bezgranicznego.

Szymszel, syn woziwody, czy drwała, ubogi uczeń bezpłatnej szkoły, nie posiadający żadnego majątku, prócz dwustu złotych, zebranych dla niego drogą składki publicznej, uchodził przecież w oczach młodych dziewcząt i rodziców ich za partyą tak świetną, że gdy małżeństwo jego z Cipą ogłoszonym zostało, wszyscy jednomyślnie dziwili się szczę-ściu małej gizelki, której stara matka roznosiła po ulicach kosze z owocami, a siostry powychodziły za szewców, stolarzy i tym podobnych ludzi grubego rzemiosła i niskiego stanu. Szewcy ci i stolarze posiadali wprawdzie własne małe domki, duże warsztaty i stałe dochody. Szymszel nie miał ani domu, ani pracowni żadnej, ani dochodu żadnego; ale był uczonym i przytém, a może zatém, tak pięknym i delikatnym!...

Szymszel i Cipa tedy pobrali się, mając społem kapitału rubli trzydzieści. Oprócz tego, Cipa miała jeszcze wyprawę, czyli: trzy koszule, dwie pierzyny, dwie suknie i kaftan watowany jeden.

Nic więcej nad to w porze pobrania się swego nie mieli, a jednak od lat już oto dwunastu żyją... Urodziło się im przez czas ten dziewięćdzieci, z których czworo umarło, a pięćdzieci istnieje; urodzi się pewno jeszcze z pięćdzieci, z których ze troje umrze, a ze dwoje wyhoduje się, a jednak żyć będą... Dziwnym się to zapewne wyda państwu, a może i nieprawdopodobnym, aby rodzina jakaś, w tak świetne, szczególnież liczebne, rezultaty obfitująca, żyć mogła z kapitału, wynoszącego rubli trzydzieści. Ja sama dziwiłam się temu niezmiernie dopóty, dopóki z bliska nie poznałam Cipy.

Z pozoru jest to sobie mała żydóweczka, zupełnie, jak to mówią, prosta. Dwadzieścia ośm lat mając, wygląda na czterdzieści z górą. Nizka, na przód podana, z plecami, na których watowany kaftan garbi się i błyszczący, nie tyle od cenności materji, co od zgrzy-białego wieku, przesuwa się ona przez tłum drobnym, śpiesznym, a jednak nieśmiałym i jakby skradającym się, krokiem.

Wyduje się wечно skłopotaną czémś, ogłuszoną, ogłupioną, i tylko czarne oczy jój, ruszają się wciąż bardzo szybko wśród śniadój, zwiędłej twarzy, i rzucają często bardzo żywe błyski. W błyskach tych zdradza się ustawiczne a bystre szukanie i upatrywanie czegoś, a niekiedy niespokojne, czujne i namiętne pożądanie. Zdarza się też czasem, że oczy Cipy przybierają wyraz złośliwy i doskonale wtedy harmonizują z czołem niskim, okrytym od gęstych brwi aż po kraniec czarnej peruki niezliczoną ilością drobnych zmarszczek.

Raczej jednak państwo nie żartować z tej małej, prostej żydówki, bardzo nieeste-tycznie i niemądre wyglądającej. Dokonała ona rzeczy pewnej, wcale ważnej, rozwiązała w praktyce pewną kwestyą społeczną, którą świat cały uznał za niezmiernie trudną do roz-

wiązania, mianowicie kwestią równouprawnienia kobiety wobec prac zarobkowych. Cipa doprowadziła rozwiązanie kwestyi téj do ideału, albowiem zarobkiem swym utrzymuje od lat dwunastu siebie, męża i pięcioro dzieci, we wszystkich przedsiębiorstwach swych, do celu tego prowadzących, wspierając się na kapitale, wynoszącym rubli trzydzieści.

Za owe rubli trzydzieści, reprezentujące podwalinę rodzinnego jéj bytu, Cipa założyła sklepik korzenny, mając w dodatku, co prawda, przyobiecany sobie na równą sumę kredyt w sklepie, w którym pełniła przedtém funkcją gizelki. Najważniejszym zadaniem dla wszelkiego przedsiębiorstwa, mającego na celu zarobek, jest znalezienie klienteli. Cipa, od pierwszego dnia założenia sklepiku, zaczęła szukać klienteli, i po dziś dzień jéj szuka, nie dlatego, aby znaleźć jéj nie mogła, ale że, znalazłszy, wnet ją traci i szukać musi nowéj. Tracenie to staje się dla przyczyn rozlicznych, pomiędzy któremi nie najmniejszą rolę grają pewne tajemnicze czynności, którym Cipa oddaje się wieczorami, po zamknięciu sklepu, w tegoż sklepu kąciku ciasnym, pomiędzy szafą, kontoarem a ścianą. Wtedy z kącika tego odzywają się szczególne szelesty jakieś, odklejania niby czegoś i ponownego zaklejania, przesypywania i przelewania.

Jakkolwiek przecież czynności, którym w chwilach owych oddaje się właścicielka sklepu, tajemniczo wyglądają przy mdlém świetelku lampki, palącej się na ziemi za kontoarem, przesadą było-by przypisywać im tragiczne znaczenie. Cipa nie należy do żadnego spisku żydów, ku szkodzie, lub zniszczeniu chrześcijańskiej ludności skierowanego; nie przygotowuje w skrytości i tajemnicy żadnych zgubnych działań przeciw swéj Meropii, bo ręczę za to państwu, że Meropii żadnej, która-by wyłącznie jéj własnością była, nie posiada, a nawet wątpię, aby brzmienie wyrazu tego kiedykolwiek w życiu swém słyszała. Działa ona zupełnie na własną rękę, bez żadnej solidarności z resztą swego narodu. Meropią jéj jest zbiorowa istota, nosząca imię: kupującej publiczności; a możebnymi władzami, które ją skłaniają do owych różnych przysypywań i przelewań, czyniących dobre gatunki towarów miernymi, a mierne szkaradnymi, są: mąż uczony, dzieci pięcioro i trzydzieści rubli podstawowego w przedsięwzięciu kapitału. Meropia Cipy, kupująca publiczność, posiada snadź smak i węch wytrawny, gdyż członkowie jéj, zaledwie zawarłszy znajomość z jéj towarami, wnet nabywać je przestają (po mnogich w dodatku, a niestety słusznych, wyrzutach, krzykach i lajaniach), tak, że wyszukiwanie coraz nowéj klienteli stanowi dla Cipy cel, nigdy nieustających starań i zabiegów. Stara się téż i zabiega w sposoby najróżniejsze: jęklivemi prośbami, całowaniem rąk, oddawaniem każdemu, kto zażąda, wszelkich zażądanych przysług. Ażeby zasłużyć się publiczności i zdobyć od czasu do czasu jakiś grosz naddatkowy, staje się naprzemian: posłańcem publicznym, listonoszem, stręczycielką sług, pośredniczką między pożyczającymi a chcącymi pożyczać, sprzedającymi a chcącymi nabywać. W sklepie siaduje dorywczo tylko, od czasu do czasu; wyręcza ją tam matka, z sióstr która, sąsiadka jaka; ona zaś sama całymi dniami biega ze wschodów na wschody, dźwiga pod ramieniem ciężkie zawinięcia, nosi na plecach stopy staréj odzieży, staje pokornie u progów różnych, z dwoma koszami w rękach, z których jeden zawiera bakalie, a drugi herbatę i butelki z winem, klóci się z kucharkami i stróżami domów, którzy ją do dobroczyńców jéj puszczać nie chcą, przekupuje surowość ich parą fig, albo garsteczką orzechów; niekiedy wpada w niecierpliwość, i z osobami płci swojéj, które wytwarzają dla niéj uciążliwą konkurencją, zawodzi na ulicach takie klótnie, iż zbliżają się ku niéj stróżowie porządku publicznego i do ustąpienia z placu walki skłaniają ją siłą pięści. Raz nawet w rękę tych grubiańskich przedstawicieli wielkiéj idei pozostał spory kawał aksamitnego niegdyś kołnierza, zdobiącego watowany jéj kaftan.

Cipa, po zginionéj w ten sposób świetności stroju swego, zapłakała rzewnymi łzami... Chwila ta rozczulenia była przecież u niéj całkiem wyjątkową. W ogólności nie skarży się nigdy na nic, a jeśli czasem ktoś, spotkawszy okiem żałośliwe spójrzenie jéj, zapyta ją z większém lub mniejszém współczuciem:

— Cóż, Cipo, czy wielka tam u was biéda?

Nigdy nawet na pytanie to nie odpowiada twierdząco, tylko mówi:

— Nu! jak Pan Bóg chce, tak jest.

Zdarzają się i tacy, którzy, znając nieco bliżéj domowe stosunki Cipy, a widząc ciemną, pomarszczoną twarz jéj, wilgotną nieraz od potu zmęczenia i wstrząsaną pomimowolnymi, nerwowymi drganiem, mawiają do niéj:

— A cóż bo ten twój mąż przez całe życie robi? Dlaczego on ci nie pomaga?

Wtedy z twarzy Cipy znika wyraz zniechęcania, a zastępuje go coś nakształt gniewu.

— On ma swoją robotę — odpowiada mrukliwie — on nie może pomagać mi w handlu.

— Jesteś więc, Cipo, bardzo nieszczęśliwą, mając takiego męża niezdarę.

Słyszając to, Cipa podnosi głowę.

— Żebym ja miała dziesięć córek, to ja-bym Pana Boga prosiła, ażeby im wszystkim dał takie szczęście, jak moje.

Przy słowach tych, oczy jęj promienieją i śmieją się, rozrzuwiony uśmiech okrąża zwiędłe usta, a rumieniec wzruszenia, czy zawstydenia, opływa pomarszczono czoło aż po brzeg czarny peruki...

Ba! sztuki dokazał-by ten, kto-by uzdolnił Szymszela do pomagania Cipie! W pi-érwszych latach małżeństwa swego, Cipa, sama nie znając jeszcze całej rozciągłości, jakiej dosięgła uczoność jęj małżonka, pozostawiała go w sklepiku do pilnowania i sprzedawania towarów, w czasie jęj nieobecności. Pilnować pilnował i nawet bardzo sumiennie, bo, jak kamień, nieporuszony siedział za kontoarem, trzymając głowę w obu dłoniach i dumając nad tém, jak-by się dały pogodzić dwa, znajdujące się w Misznie, przeciwne sobie twierdzenia, rabbi Gamaliela i rabbi Eliezera, albo, jakie wnioski wyprowadzić należy z pewnego powiedzenia rabbi Papy, z którego-to zresztą powiedzenia wyprowadzonych już zostało przez różnych komentatorów wniosków sto i dziesięć. Szymszel przecież usi-łował wywieźć z niego wniosek sto jedenasty, i dumając nad nim, pilnował powierzonego sobie sklepiku, bez żadnej przykrości, ni przeszkody. Ale, gdy przyszło do drugiej części zleconej mu roboty, czyli do sprzedawania, rzecz zaczynała być wielce trudną dlatego, że nie mogła wesprzeć się na rozmowie, gdyż Szymszel nie rozumiał wcale języka, w którym przemawiali do niego kupujący. Parę razy jednak zdarzyło się, iż, znalazłszy na prędcie tłómacza, za pośrednictwem jego rozmówił się z przybyłymi, i żądane towary im sprzedał, lecz, gdy Cipa, po powrocie do domu zbadła sposób, w jaki sprzedaż ta dokonana została, zmieniła się w posąg rozpachy nieruchomy, niemy, i tylko głową żalośnie kiwający. Pokazało się, że Szymszel, ważąc zbywany towar, odważył go półtora razy więcej, niż należało (udawał bowiem tylko, że zna się na wadze, w gruncie zaś nic a nic mechanizmu jęj nie rozumiał), a zdając resztę z podanych sobie pieniędzy, przeliczył się na swą niekorzyść o całe dwadzieścia groszy, (na wartości monety znał się tyle, co i na wadze). Nie wiem dlaczego kupujący goj, tym razem spostrzegając wybornie omyłkę Szymszela, nie sprostował jęj, lecz przeciwnie, przenajspokojniej z nięj skorzystał. Stało się to zapewne dlatego, iż więcej, niż w świadectwo oczu własnych, wierzył on w to, że żyd ani odważyć, ani przeliczyć na niekorzyść swoją nie może, i dlatego jeszcze, że z Meropii, czyli z ofiar, wyzyskiwaniu poddanych, korzystać lubią nietylko żydzi sami, ale także i niektórzy gojowie... Dość, że Cipa, wyręczywszy się parę razy przez męża w sklepikowych czynnościach, wyręczać się nim nadal poprzestała. Ręką swą zgrubiałą i ciemną powiodła z wolna po czarnych jego włosach, popatrzała mu chwilę w twarz, uśmiechając się z nieśmiałą czułością, i powiedziała:

— Nu! idź ty do swojej roboty! ja już sama wszystkiemu dam radę... niech twoja głowa będzie o wszystko spokojną.

Szymszel poszedł do swojej roboty, czyli do swoich uczonych ksiąg i dumań. Głowa jego była spokojną, a serce opływało w słodczye różnego rodzaju. Szczęśliwym był on w sposób wieloraki. Duma wielka i doskonale zadowolenie z siebie napelniały pierś jego wtedy, gdy do ciasnej i brudnej jego izdebki wchodzili ludzie różni, mężowie nieraz poważni bardzo bogacze, ba! nawet uczeni, i zapytywali go o znaczenie różnych ciemnych miejsc w świętej nauce, prosili o rady w różnych drobniutkich punktach religijnej kazuistyki, albo po prostu o opowiedzenie im tój lub owęj historyi, poczerpniętę z Hagady, tój lub owęj legendy, przypowieści i t. d. Szymszel tłómaczył, wyjaśniał, radził, opowiadał, wpadał sam w zapal, graniczący z extazą, i zachwyceniem napelniał serca słuchaczy swych, którzy odchodzili z głębokimi ukłonami, oddawanemi mądrości i wymowie jego...

Była to jedyna uciecha Szymszela. Drugą, i nie najmniejszą czerpał on, jak już wiemy, z ojcowskiej miłości swęj, rozdzielonej pomiędzy pięć przedmiotów, z których każdy zachwycał go innemi wdziękami i budził w nim czułość tkliwą, zachwyconą i wiecznie radosną. Smutek najlżejszy nie mieszał się z tą czułością. Teraźniejszość dzieci nie sprawiała Szymszelowi troski żadnej. Troszczyła się o nią srodze Cipa; ale, że nigdy o troskach

owych mężowi nie mówiła, więc nie wiedział o nich nic wcale. Co do przyszłości, jeżeli kiedy Szymzel, patrząc na pięć pociech swych, pomyślał o niej, wnet mówił sobie:

— Enoch, Mendele i Lejzorek, będą uczonymi, Liba i Esterka wyjdą za mąż za uczonych.

I nie była to nawet prosta nadzieja, ale pewność która, zupełnie uspakajając Szymzela co do przyszłej doli jego dzieci, dawała mu w dodatku uszczęśliwiający przedsmak chronicznej i bezwyjątkowej w rodzinie jego uczoneści.

Trzeciemi i najwyższymi może źródłami szczęścia była dla Szymzela — praca. Tak. Próżniakiem on nie był wcale, jak o tym mógł-by mniemać ktoś, powierzchownie na rzeczy patrzący. Ja, która często bywam w sklepiku Cipy i ztamtąd spoglądam w głąb sąsiedniej izby, na własne oczy widuję nieraz Szymzela, tak, ale to tak zapracowanego, że mu aż pot kroplisty występuje na zbladłe od znużenia czoło, krwiste plamy rumieńców występują na policzki, obrosłe czarnym włosiem, a wargi drgają nerwowo od wzruszeń, doznawanych w walce z trudnościami zadania. Szymzel pracuje z całego serca, z całej duszy i ze wszystkich sił swoich, lecz cóż za pyszne, wspaniałe nagrody otrzymuje w zamian za wysilenia swoje! Jakich odkryć dokonywał! Jak głębokie a ważne rozwiązuje zagadki! Jakie cudowne miewa złudzenia!

Raz naprzykład udało mu się odkryć, że w *Kedaszim*, czyli w księdze piątej Talmudu, traktującej o ofiarach, znajduje się wymienione imię zwierzęcia pewnego, które, jako nieczyste, nie mogło być składanym w ofierze Panu, a o jakim-to imieniu dotąd jeszcze nikt nie wiedział. I teraz także, z odkrytego w księdze *Kedaszim* imienia tego, nikt a nikt nie domyślił się, jakie mianowicie zwierzę ma ono oznaczać, niemniej przecież odkrycie to dostarczyło samemu Szymzelowi rozkoszy, będącej zwykłym udziałem wynalazców, a w gminie całej stało się prawdziwym ewenementem. Jakże!... małą to rzeczą było dowiedzieć się, że zwierzę jakiś, niewiadomo jakie właściwie, ale takie a takie imię noszące, nie mogło być, według prawa, składanym Panu w ofierze, w świątyni zburzonej przed dwoma tysiącami lat?

Innym znowu razem, Szymzel ujrzał rzecz nadzwyczajną. Było to w nocy. Cipa spała, dzieci spały, ale on nie spał i przy lampie, o długim, kopcącym kominie, nad książką siedząc, pracował. Pracował długo i niezwalczony sen ogarniać go już zaczynał, gdy nagle, podniosłszy oczy z nad księgi, wyprostował się, pobladł śmiertelnie, rozwarł usta i oczy szeroko, i tak już w na-pół przerażonej, a na-pół zachwyconej postawie pozostał. Nie dziw, bo oto co ujrzał w tej chwili.

Za oknem, przed którym siedział, wisiała gruba ciemność nocy. Na czarnym jej tle, przed oderwanymi od księgi, krwią nabiegłymi oczyma Szymzela, błysnęła naprzód długa, złota pręga, potem rozszerzała się zwolna, rozdzielała się na pręgi drobniejsze, aż rozwinęła się w drabinę złotą, której szczyt dotykał niebios, ciężkich jesiennymi chmurami, a podstawa wspierała się o zroszone deszczem kamienie podwórka. Dokoła ciemność panowała czarna, a na tle jej promieniały szczyble tej drabiny złotej, z których na każdym stał anioł. Aniołowie to byli różni. Szymzel rozpoznawał ich z kolei, niby istoty, których nigdy wprawdzie dotąd nie widział oko w oko, ale których portrety widywał nieraz na kartach czytanych ksiąg. Tam, u samego dołu drabiny, wspierając ją potężnymi barkami swemi, stał Sar-ha-Olam, archanioł wiedzy. „Niedarmo w Hagadzie nosi on tytuł księcia świata” — pomyślał Szymzel, bo szkarłatna opona opływała olbrzymią postacią jego, a na głowie swęj dźwigał koronę, złożoną z liter misternie zwiłanych, a palających na podobieństwo promieni tych, które strzelają ku niebu z męczeńskich stosów. Zresztą duch to był dumny i z chłodnym obliczem, otaczały go mgły srebrzyste, o których Szymzel domyślił się, że były wylanianymi przez ducha myślami. Mgły te, srebrnymi pasmami odrywając się od łona anioła wiedzy, ulatywały w otaczające go ciemności i, gdy zdawały się walczyć z niemi w przestrzeni, Sar-ha-Olam patrzył na walki te wielkim, spokojnym, przejrzyśtym okiem, a płomienne litery, splatające koronę jego, układały się w wyraz „zwycięże!”

Powyżej wznosili się aniołowie inni, różni, mniejsi i więksi, bardziej i mniej promieniści. Szymzel poznawał ich wszystkich, każdego zwąc po imieniu. „Oto jest anioł Metatron — mówił sobie w duchu — Bądź pochwalony, aniele Metatronie, który strzeżesz Izraela jako żrenicy w oku swoim i biedną jego głowę osłaniaasz skrzydłami swemi.” Skrzydła anioła Metatrona śnieżyste białe są i tak jak tałesy, płaszczki owe, w których

modlą się synowie Izraela, obramowane ciemnymi szlakami. Znak to żaloby, w który Przedwieczny przyodział Metatrona, gdy lud, nad którym obrońcą i stróżem on stoi, stracił ojczyznę.

— A oto jest anioł Uryel z jedenastu towarzyszymi, którzy rządzą dwunastu miesiącami w roku. A oto aniołowie wichru i ognia... wyglądają jako tęczowe tumany, lecz barwy ich bledną co chwila... rozpraszają się oni, znikają, i ztamtąd, kędy stali, leci już tylko dźwięk jakby struny, pękającej z długim żalonym poświstem... A oto... bądź pochwalony, o Sandalfonie, aniele modlitwy!

Tak; u szczytu drabiny złotej, której podnoże wspiera archanioł wiedzy, o potężnych ramionach, w płaszczu szkarlatnym i koronie z hieroglifów splecionej, stoi anioł modlitwy, wysmukły i biały, z włosiem złocistym, uwieńczonym cierniami, z głową łagodnym ruchem tak przechyloną ku ziemi, jak gdyby wiecznie wsłuchiwał się w lecące od niej szmery.

Szymszel patrzy na Sandalfona wzrokiem śmielszym daleko, niż spoglądał na innych aniołów. Po ustach jego wije się nawet uśmiech przyjacielskiego porozumienia. Anioł-powiernik to i anioł-przyjaciel ludzi. W dłoniach jego pełno kwiatów. Zmieniają się one wciąż... coraz to inne są, a on je wciąż splata w wieńce niezmierniej długości.

— Wiem — myśli Szymszel — są to modlitwy ludzkie, które z nad ziemi płyną, płyną, płyną ku Jehowie, a Sandalfon chwyta je w przelocie, w kwiaty przemienia, w wieńce uplata i ściele Przedwiecznemu pod stopy. Przedwieczny pozna już tam, czyje to są i jakie błagania.

Sandalfon, zbierając wszystkie modlitwy ludzkie, czuje snadź w sobie wielki smutek i litość, bo oko jego goreje łzą ogromną, tak błyszczącą, jak najpiękniejszy brylant. Szymszel patrzy na tę łzę i myśli: „Bądź pochwalony, aniele Sandalfonie, za to, że taką litość czujesz nad ludźmi!” A powiedziawszy to, zaczyna przyglądać się kwiatom, płynącym z dłoni Sandalfona, jak długa barwna wstęga, i nadziwić się piękności ich nie może. Szkarlatne kielichy wyrastają w oczach jego do wielkości takięj, że okienko, przez które patrzy na nie, pomieścić ich nie może; róże, białe jak śnieg, błyszczą srebrnymi łzami, na krwawych łodygach wyrastają liście czarne z żalobą białych rąbków, błękitne gwiazdy sypią z siebie deszcz złotych iskier, żółte tulipany wyglądają jak dzwony ogniste z wielkimi sercami, kołacącymi w nich mocno i porośniętymi ciemnym piołunem. Szymszel patrzy na wszystkie te cudowności, do ust jego przylgnął uśmiech zachwycenia, głowę z podziwu wielkiego przechyla w obie strony, a ręce mimowolnym ruchem podnosi w górę.

Nagle, złota drabina i napelniający ją aniołowie, srebrzyste łzy Sar-ha Olama, walczące z ciemnościami, i przecudowne kwiaty Sandalfona — bledną, zlewają się w tuman niewyraźny, tu i owdzie centkowany jeszcze złotem i purpurą, aż znikają całkiem. Szymszel ciężką ręką przeciera powieki i smętnym wzrokiem spogląda dokoła.

Przed nim na stole, z wąskiego kominka dogasającej lampki wymyka się dym brudny, cuchnący; dokoła niego, na łózkach, kufrze i na ziemi pod piecem szemrzą senne oddechy i chrapania, z pod pierzyny odzywa się kaszel Liby, kot głośno mruczy, śpiąc obok skurzonego w kącie Enocha; za oknem dnieje, lecz grube chmury zasłaniają niebo, a duże mętne krople deszczu spadają z nich na brudne kamienie podwórka, po którym przelatują długie jęki i pogwizdy wiatru.

Szymszel powstał, przywdział tałas, opasał czoło rzemieniem z teflą i, wznosząc w górę obie ręce, dziękował Bogu za to, że dał mu, niby drugiemu Jakóbowi, ujrzyć żywemi oczyma anioły swe — i za to, że uczynił go tak bardzo, tak bardzo szczęśliwym...

Szymszel był tém szczęśliwszy, że głębokich a licznych uciech jego nie mąciła żadna troska, żadna boleść, których tyle doświadczają wszyscy, nieobcy uczuciom, noszącym nazwy: humanitaryzm, filantropia, dbałość o sprawy ogółu i t. d. Uczuć tych Szymszel nietylko nie doświadcział, ale nie wiedział nawet, że istnieją na ziemi. Oprócz nauki, której oddawał się, dzieci, które kochał, i żony, dla której doświadcział uczucia pobłażliwego, jakby litośnego przywiązania — nic na szerokim świecie nie obchodziło go w stopniu najmniejszym.

Ze społeczeństwem, otaczającym szczupły ten krąg, wśród którego upływało mu życie, nie miał nigdy stosunków żadnych. Ani znał go, ani znać chciał. Mowy jego nie rozumiał. Nienawiści dla niego żadnej nie miał i mieć nie mógł, bo nie istniało ono dla niego. Nie myślał o nim nigdy. Co się zaś tyczy społeczeństwa tego, z którym wiązała go jedność

pochodzenia, wiary i mowy, czuł dla niego życzliwość, która przecież utrapień, ni trosk nie sprawiała mu żadnych. Chętnie otwierał przed niemi skarby wiedzy swojej. Zresztą nie wdawał się w żadne sprawy i nie łamał sobie głowy nad dodatnimi lub ujemnymi warunkami zbiorowego jego bytu. Jeżeli kiedykolwiek o uszy jego obito się westchnienie: „źle jest z nami, ” — odpowiadał; „tak Bóg chce, ” a jeżeli westchnienie to przybierało formę zapytania: „co będzie z nami?” — mawiał: „tak będzie, jak Bóg zechce, ” przyczem wspominał sobie prorocтва o przyjściu Mesjasza, prorocтва, które w mniemaniu jego spełnić się muszą niewątpliwie, i uśmiechał się na-pół tajemniczo, na-pół rozkosznie.

Spokój jego był tak niezmaconym, jak zupełnym i głębokim było zadowolenie z samego siebie, jak wielorakiem i żywo uczuwanem było jego szczęście.

Jedynym zmartwieniem, którego doświadczał od czasu do czasu, sprawiała mu znoszona niegdyś przez żydów niewola babilońska. Myśląc lub czytając o niej, stawał się smutnym, zamyślał się i przyciszonym głosem nucił pieśń o rzekach Babilonu i ziemi wygnania. Martwiło go też niekiedy zburzenie świątyni jerozolimskiej. Cesarza rzymskiego, Tytusa, który tego dokonał, nienawidził z całego serca, namiętnie, zjadliwie. Była to jedyna nienawiść, którą nosił w swém sercu. Częściej jednak, niż nienawiści tej, oddawał się żalowi. Niekiedy, czytając historią o oblężeniu Jerozolimy przez wojska rzymskie i o wszystkim, co nastąpiło potem, brał głowę w obie dłonie, jęczał i płakał.

Czarność przecież chwil takich stokrotnie wynagradzaną mu bywała różowością wielu innych. Jak naprzykład rozpyływał się cały z rozkoszy na widok bogactw i chwały króla Salomona! jak głośno wyśpiewywał i podskakiwał radośnie, wraz ze śpiewającym i tańczącym przed arką przymierza, królem Dawidem! Jak dumnie tryumfował z Machabeuszem! Jak gorąco radowało go pierwsze po klęsce zgromadzenie się izraelskiego Sanhedrynu, i jak żywy, gorliwy brał udział w staczanych w Sanhedrynie dyskusjach, i jak pysznym był z tego, że brał w nich udział!

Godzinami całymi siadywał u nóg rabbi Gamaliela, z rabbi Jehudą toczył delikatne lecz wytrwałe spory, z rabbi Akibą przyjaźnił się czule, serdecznie i kochał go, a uwielbiał bez granic.

Tak, wśród rzadkich zmartwień a ustawicznych uciech, płynęło życie uczonemu małżonkowi niestrudzonej Cipy, aż do wypadku pewnego, który najniespodzianie w świecie zmącił spokojny i błogi bieg jego żywota.

*

Jeżeli ktokolwiek z państwa był w Ongrodzie, znać musi zaułek ów, który od tak zwanego bulwaru prowadzi ku nieznanym i niezbadanym, bardzo jednak obszernym, choć niezmiernie ciasnym, głębinom dzielnicy żydowskiej.

Mój Boże! jak ja się wstydzę tego, że muszę państwa prowadzić w miejsce, które nazywa się zaułkiem. Lecz cóż mam czynić?

Powieściopisarz jest jak podróżnik. Mało znane, lub całkiem dzikie miejscowości, pociągają go ku sobie najżywiej. Kto więc z państwa posiada instynkta podróżnicze, niech idzie za mną w ten zaułek, którego obie strony zabudowane są z początku ślepymi ścianami wysokich kamienic, ale potem zniżają się i ukazują same tylko niziuchne, drewniane i lichy pobielane domki, o trzech, dwóch, albo i jednym oknie.

Oto domek, w którym mieszka *Rebe Szymszel* ze swoją rodziną. Ma on ze strony zaułka dwa okna i drzwi, raczej drzwiczki, wyniesione nad poziom dwoma schodkami. Okna nie należą do Szymszelowego mieszkania: mieszka za niemi Icko blacharz, wraz z siedmiu innymi osobami, rodzinę jego składającymi, ale drzwiczki prowadzą właśnie do sklepiku Cipy.

Przykro mi bardzo, że koło sklepiku tego przechodzić musimy, bo ulatują z niego wonie świec, mydła, masła i śledzi, zlewające się w aglomerat niezbyt przyjemny dla powonienia. Są to przecież rzeczy realne, prozaiczne, których nie sposób ominąć przy podróżowaniu po krainach rzeczywistości. I głąb' sklepiku wygląda też bardzo realnie i prozaicznie, możemy przecież nie przyglądać się mu wcale, bo oto brama od podwórka, na które wejść musimy, ażeby módz nawiedzić Szymszelowe mieszkanie.

Zmrok wieczorny zapada.

Jednak, przy ostatekch światłości dziennój, dostrzegamy w głębi podwórka, nad domkiem o dwóch oknach, który naprzeciw bramy stoi, zawieszoną w powietrzu — rękę olbrzymich rozmiarów. Ręka ta tak wielka, jak dwadzieścia zwykłych rąk ludzkich razem wziętych, pomarańczową ma barwę i najwyraźniej wisi w powietrzu... Cóż-by to było? czary jakieś albo guślarskie maszynerye, dokonywające się w nienawistnych i zbrodniczych celach? Wszak wszystkiego spodziewać się można w brudnym tém siedlisku ciemnego żydowstwa!

Nie drżycie państwo i nie zabierajcie się do odwrotu. Ręka ta, wisząca w powietrzu, nie ma w sobie żadnych nadnaturalnych celów ni właściwości. Jest to rzecz bardzo prosta: szyld, wymalowany dla rękawicznika jakiegoś i wywieszony na powietrze, w celu wysuszenia wielkiego tego plastra farby.

W domku, naprzeciw bramy stojącym, mieszka Mowsza, malarz ścian i szyldów. Prawdziwy to dobroczyńca Szmyszelowych dzieci: szczególnie Esterki i Mendelka. Sprawia on im ustawiczne a radosne niespodzianki i uciechy. Raz widzą one przed domkiem jego wiszącą rękę olbrzymią, to znów but cały czerwony z żółtą podeszwą, to różowe suknie, szeroko rozpięte na tle błękitnym, albo kocze i kabryolety, których lazurkowe pudła wspierają się na purpurowych kołach.

Przed cudownymi temi obrazami Esterka staje częstokroć godzinami całemi, z palcem, utopionym w koralowych ustach, i oczyma, wzniesionemi w górę, a Mendele zapomina się wobec nich do takiego nawet stopnia, że przysiada na kamieniach i głowę w niemym zachwycie tak wysoko podnosi, iż mała jarmułka spada mu z ogromnych włosów, a on tego nie spostrzega. Spostrzega to przecież przez okno pobożny Enoch, wychodzi z mieszkania, z wielką powagą przebywa dziedziniec i podnosi z ziemi jarmułkę, w celu przykrycia nią głowy lekkomyślnego brata, lecz, przypadkiem spojrzawszy na cudowny obraz, wiszący przed domem malarza szyldów, nie dokonywa zamiaru tego, ale, trzymając jarmułkę zawieszoną, niby miecz Damoklesa, nad głowę Mendelka, staje w nieruchomej postawie i patrzy. Tak patrzą wszyscy troje dopóty, aż Liba przyjdzie wołać ich na obiad lub wieszczkę.

Liba nie ma czasu przypatrywać się cudownym obrazom, ale gdy raz już tam przyjdzie, w celu wyrwania rodzeństwa z idealnych sfer zachwyty, sama w nie wpada, staje także i patrzy.

W téj chwili jednak, wielka pomarańczowa ręka nie posiada podziwiających ją spektatorów. Na drucie, którego w zmroku nie widać, wisi ona i niekiedy, przy powiewie wiatru, kołysze się z przeciągłym skrzypieniem, pięciu swemi grubemi i szeroko rozwartemi palcami migocąc na tle dwóch, poniżej, oświetlonych okienek.

Okienka Mowszy są dziś rześcicie oświetlone, a z za nich dolatuje uszu naszych gwar ożywionej i przez liczne głosy prowadzonej rozmowy. Czyżby Mowsza i żona jego Chaja wdawali się w wydawanie u siebie balów albo rautów? Wątpię; albowiem, pomimo istnienia wśród izraelskiego ludu Rotszyldów i innych owych bardzo bogatych bankierów, malarz szyldów jest, można powiedzieć, wcale niezamożnym człowiekiem.

Spostrzegam, iż trwoga, połączona z oburzeniem, maluje się znowu na twarzach państwa! Jeżeli to niepospolite oświetlenie okienek mieszkania Mowszy i gwar, za niemi brzmiący, nie są oznakami rautu albo balu, są one niezawodnie oznakami tajemniczej narady jakiejś lub mrocznego spisku.

Nie wiem; być może.

Nie znam z blizka Mowszy, zatem i ręczyć nie mogę za niego, tak jak ręczyłam za Szmyszela. Dowiemy się jednak o tém niezawodnie, a teraz rzućmy okiem na to oto okienko, całą szerokością nieszerokiego podwórka rozdzielone z oświetlonemi okienkami Mowszy.

Ściana domu, przy którym stoimy, starą jest, niską, i posiada widoczną skłonność do położenia się na ziemi, ku której téż pochyla swą chropowatą i popielatą powierzchnią. Wraz z nią chyli się téż ku ziemi tkwiące w niej okienko, z czterech szyb złożone i w spróchniałe ramy oprawione. Za okienkiem błyszczy mdłe światelko. Pochodzi ono od lampki z długim, wązkim kominkiem, palącej się na stole pod oknem stojącym, a do połowy okrytym wielką, rozwartą księgą. Przy stole i nad księgą siedzi...

Mam przyjemność osobiście tym razem przedstawić państwu Szymszela, o którym tyle już słyszeliście ode mnie! Jestem pewną, że, przypatrzysz się mu, potwierdźcie zdanie Cipy, że jest on bardzo pięknym i delikatnym. Jest wysoki i bardzo szczupły. Ręce ma białe, jak u kobiety najlepszego tonu i urodzenia, wąskie i kształtne bardzo, choć chude. Twarz jego ściąga, blada, z długą, kędzierzawą, kruczają czarność brodą, posiada prawdziwą czystość i delikatność rysów, a wyraz spokojny i bardzo łagodny. W chwilach, gdy podnosi on z nad księgi swe oczy, twarz ta oblewa się światłem głębokiego, tajemniczego marzenia; znać zaraz, że źrenice te, czarne, ogniste w głębi a z wilgotną powierzchnią, płaczą niekiedy nad niewolą babilońską i zburzeniem Jerozolimy, a często spoglądają na płomienne hieroglify, wieńczące dumną głowę archanioła wiedzy, i na lżę brylantową, gorejącą w oku anioła modlitwy. Coś ze spokojnej dumy Sar-ha-Olama i z przedziwnej dobroci Sandalfona odbiło się i pozostało w ognistej, a jednak miękkiej, źrenicy Szymszela. Wargi jego, cienką, i zaledwie różową linią zarysowane wśród czarnego zarostu, gdyby nie należały do tak ciemnego i prostego żyda, oznaczały-by niezawodnie naturę wrażliwą, nerwową, artystyczną może, tak wytworną posiadają one zarys, tak wymownym drżeniem poruszają się od chwili do chwili i takie zjawiają się na nich pojętne a miękkie i rozrzucone uśmiechy.

Co do mnie, podzielam zupełnie zdanie Cipy o powierzchowności jej męża i znajduję, że, patrząc na nią okiem, posiadającym w sobie coś ze światła anioła wiedzy i anioła litości, można wiele myśleć, domyślać się i żałować...

Jeżeli jednak żyd ten zainteresował państwa tak jak mnie, będziecie mogli przypatrywać się mu dowoli, ile razy zechcecie tylko przyjść o tej samej porze na to podwórko, gdyż codziennie i niezmiennie siaduje on wieczorami tak, jak dziś go widzimy, przy stole, z twarzą zwróconą ku oknu, oświetloną mdlącym światłem lampki, schyloną nad księgą lub zapatrzoną kędyś wysoko. Niekiedy zobaczycie go z Esterką, która skacze na jego kolach, albo z Lejzorkiem, który włazi mu na plecy i obie ręce zatapia w kruczych jego włosach. Wtedy on jest bardzo wesołym, zapomina o niewoli babilońskiej i Sandalfonie i śmieje się do dzieci, i głośne pocałunki wyciska na ich policzkach...

Teraz nie będziemy już przypatrywać mu się dłużej, gdyż oto otwierają się drzwi mieszkania malarza szyldów i gromada czarnych postaci, wyszedłszy z nich, przesuwa się pod zdającą się grozić ich głowom pomarańczową ręką, z gwarliwą rozmową przebywa podwórko i wchodzi do izby Szymszela.

Wejźmy za niemi.

Izbę znacie już państwo z mego opisu. Teraz zrobiło się w niej strasznie pełno. Weszło do niej sześciu ludzi. Prezentuję:

Icko blacharz,

Mowsza malarz szyldów,

Josiel kuśnierz,

Meir, syn kuśnierza Josiela,

Dwóch innych nie znam.

Dla tych-to ludzi zapewne Mowsza oświecał *à giorno* swe mieszkanie, oni-to tak gwarnie w nim rozmawiali. Lecz czego żądają oni od Szymszela? — Kłaniają mu się z uszanowaniem wielkiem, tak wielkiem, że znać zaraz, iż ci prości rzemieślnicy czują nad sobą niezmierną wyższość uczonego.

Szymszel wita ich uprzejmie, łagodnie, ale z powagą, odpowiednią dostojności swej. Z pośrodku gromadki całej występuje, bądź jako najstarszy, bądź jako najwymowniejszy, Josiel kuśnierz. Z lekką nieśmiałością przystępuje on do rzeczy i powiada, że całe obecne tu towarzystwo uradziło...

Uradziło... a co? czyśmy nie zgadli? Oni coś uradzili! Cóż uradzić mogli? — Naturalnie, nic innego, jak coś, co podkopać ma lub boleśnie zranić świat chrześcijański, jak dowodnie przekonywa nas o tym broszura, ręką, że przez mądrego wielce męża napisana, ale przez mędrszego jeszcze przepolszczona, nosząca tytuł: „Zawojowanie świata przez żydów.” Oni chcą i usiłują zawojować świat (taki wojowniczy naród!) i pewno teraz rzecz jakąś, ku celowi temu prowadzącą, uradzili.

Josiel kuśnierz tedy powiada, że on i towarzysze jego uradzili, w dzień najbliższego Purymu... grać teatr.

Tylko?!

Tylko.

... Grać teatr na rzecz ubogich...

Nawet?!

Nawet.

Uradziwszy zaś grać teatr na rzecz ubogich, w dzień najbliższego Purymu, umyślili prosić *Rebe* Szymszela, aby do ich kompanii chciał należeć.

Rebe Szymszel ma głos do śpiewania piękny, bardzo piękny. Nikt nad niego lepiej nie wyśpiewa roli głównej.

Sam kantor im to doradzał, kantor, który — jak wiadomo — cudownie śpiewa, a wszystkie głosy w całej gminie zna, jak swój własny.

Rebe Szymszel jest uczonym, bardzo uczonym człowiekiem. Nikt nad niego żywszej sympatii dla ich przedsięwzięcia nie obudzi u ludu, nikt większą powagą przedsięwzięcia tego przed ludem nie okryje. Sam *rabbi* Boruch, który wiadomo jak gorliwie opiekuje się ubogimi, ku większej korzyści ubogich prosi go o to...

Co oni takiego grać mają? Grać mają sztukę pod tytułem „Silny Samson,” którą *Rebe* Szymszel z pewnością zna (czegoż nie zna mądrość *Rebe* Szymszela?), a w której są takie piękne śpiewania i takie piękne widoki, że... ach!

Josiel kuśnierz, mówić przestaje, lecz z za krępej, nizkiej postaci jego wysuwa się wysoki i barczysty Mowsza, malarz szyldów, i z uśmiechem napoły wesołym, napoły nieśmiałym, czyni tę trafną uwagę, że *Rebe* Szymszel i dla tego jeszcze przychylić się do prośby ich powinien, że najstosowniejsem będzie, gdy rolę „Silnego Samsona” odegra „Silny Samson.” Wszak tamten nazywał się Samson i ten nazywa się Samson, a jeżeli tamten miał siłę w swoim ciele, ten ma siłę w swoim rozumie.

Uwaga ta Mowszy, tak grzeczna, dowcipna a przytém słuszna, otrzymała poklask ogólny.

Rzeczywiście, Szymszel to Samson, tak jak Mowsza to Mojżesz, Josiel, — Jozue, Icek, — Izaak i t. d. Nie domyślaliście się państwo, że tak wspaniałej i powszechnie szanowanej pamięci imiona kryją się za imionami tak skromnymi, że aż powszechnie wyśmiewanemi! Śmieliście się nieraz z Mowszy, Icka i Szymszela, nie wiedząc o tém, że macie do czynienia z Mojżeszem, Izaakiem i Samsonem. Gdybyście odwykli trochę od śmiania się, dowiedzielibyście się może wielu innych, podobnie nowych a wcale zajmujących rzeczy. Ale śmiech... Gdyby mię zapytano jak Ezopa: co na świecie jest najlepszego i zarazem najgorszego?

Odpowiedziała-bym: śmiech.

Szymszel czyli Samson długo namyślał się nad uczynioném mu przedstawieniem. To, czego po nim żądano, było nie medytacją już i nie kontemplacją, ale czynem, więc czémś, z czém Szymszel nie miał dotąd stosunków najmniejszych.

Czym przerażał go. Tak mu ciężko będzie chodzić, ruszać się, usiłować — słowem działać. Przytém rzecz tak płocha, jak granie teatru, czy nie ubliży jego powadze, czy nie poniży jego dostojności?

Myślał długo, potém wstał i rzekł:

— Jeżeli kantor mówi, że ja mam taki piękny głos do śpiewania, i jeżeli *rabbi* Boruch mnie o to prosi, i jeżeli to dla ubogich, to ja zgadzam się do tego należeć.

Wielka radość w całej kompanii, w czém po chwili bierze udział i sam Szymszel.

Gdyby Szymszel nie był żydem, powiedział-by on i miał-by zupełne prawo powiedzieć: „ja sam jestem ubogim”, ale, będąc żydem, nie miał prawa powiedzieć tego i nie powiedział; żona jego bowiem posiadała przedsiębiorstwo, oparte na trzydziestu rublach podstawowego kapitału, gotowała codziennie krupnik z kartoflami, a na piątek i sobotę kupowała nawet półtora funta mięsa lub ryby, co, zgóddźcie się państwo, dla siedmiu osób, rodzinę składających, było zupełnie dostatecznym.

Posiadając więc wszystkie te warunki życia, Szymszel ani pomyślał nawet o tém, że jest ubogim, i że grać-by można teatr i na jego także korzyść.

Kompania zapraszająca rozpowiadać zaczęła Szymszelowi, kto kim będzie:

— Wysoki, barczysty Mowsza akurat pasuje do roli cesarza filistyńskiego, nu! on ją i odśpiewa.

— Icko, blacharz, będzie ministrem i zausznikiem Mowszy; a ci dwaj Rebowie przedstawią starców jerozolimskich, co to przed filistyńskim cesarzem płaczą...

— Meir, syn Josiela kuśnierza, (on czerwieni się teraz od wstydu) będzie przedstawiał Dalilę... on taki młody i taką delikatną twarz ma, z niego będzie piękna dama.

— Innych filistynów tu niéma, ale my już ich mamy, tylko nie mieli oni czasu tu przyjść, bo to są szewcy i stolarze, którzy do późnej nocy pracować muszą.

— Uczyc nas będzie sam kantor, i do niego schodzić się będziemy na próby, a na ubrania i wszystkie inne wydatki obiecał nam *rabbi* Boruch zebrać pieniądze u bogatych kupców... Nu! i my sami zresztą postaramy się... Co robić? Kiedy nam Pan Bóg dał takie szczęście, że my mamy z czego żyć, to trzeba Jemu za to dziękować, dopomagając tym, którym On tego szczęścia nie dał.

— Josiel kuśnierz grać teatru nie będzie, on tylko gospodarz, i do niego należy, aby rzecz cała urządzoną była *recht* i *richtig*.

Rozpowiedziawszy to wszystko, goście odeszli z podziękowaniami i pokłonami. Szym-szel zaś ani przypuszczał, że postanowienie, które powziął przed chwilą, zaznaczy się silnie w życiu jego i... kto wie? będzie może miało ważne następstwa dla przyszłości jego dzieci.

Co pewna, to, że dzień ten rozpoczął nową erę w życiu... Cipy. Ileż przez kilka tygodni, które nastąpiły po nim, doświadczała ona przyjemności niewymownych i chluby, rozlewającej się w piersi jęj potokiem miodu!

Szym-szel zmienił nieco sendenteryjne swe zwyczaje i, na całe ranki często opuszczając izbę, przepędzał czas u kantora, gdzie ćwiczył się w sztuce śpiewu, którą i przedtém już, wcale nie na żarty lecz na seryo, w dość wysokim stopniu posiadał. Wieczorami za to trupa artystów-amatorów schodziła się do izby jego w pełnym komplecie.

Z tą uprzejmą dumą, która właściwą jest ludziom, zajmującym wysokie stanowiska, prosił on swych czasowych kolegów, aby czynili mu ten honor, a oni skłonili się do żądania tego z uciechą i z pewnym także zadowoleniem miłości własnej. Miło to jest mózdz bywać codziennie u kogoś, nieskończenie od nas wyższego. Blacharz, kuśnierz i malarz szyldów czuli się zaszczyconymi możliwością codziennego bywania w domu uczonego, ale że zajmowali się robotą grubą, niską, która ma to do siebie, iż zabiera dwanaście, czternaście albo i szesnaście godzin na dobę, nie mogli przychodzić inaczej, jak o dość późnej porze wieczornej.

Gdy przybywali, robiło się w izdebce gorąco, jak w suto napalonym piecu. Dusili się; co widząc, Szym-szel, dawał z siebie dobry przykład, zdejmował chałat, i tak sobie w kamizelce i białych (nieśnieźnie białych) rękawach, siadał na stole, stojącym przy oknie.

Widząc to, goście mówili: „z przeproszeniem”, i, zdjawszy także chałaty swe, siadali, gdzie komu wypadło: na kufrze, kulawych stolkach i na ziemi. Ta ostatnia pozycja przypadała zawsze szesnastoletniemu Mejerowi, *vulgo* Dalili, któremu także, jako najmłodszemu, nie wolno było zdjąć szaręj, okrywającej go (z wyjątkiem łokci, których nie okrywała) surduciny.

Obraz cały układał się w ten sposób, że Szym-szel, siedzący na stole, górował nad całą grupą, z pośród której najwydatniejsze punkty stanowili: cesarz filistyński, *vulgo* malarz szyldów, z twarzą i rękoma utatuowanymi farbą czerwoną i szafirową, i okrągła twarz Dalili, *vulgo* Mejerka, szkarłatna od gorąca i zawstyżenia, niby piwonia, i błyszcząca potem, niby rosą. Gdy zaś usadowili się już wszyscy w ten sposób, rozpoczęli próbę, czyli śpiewanie wspólne i kolejne, ożywione i kierowane przez kuśnierza, który, stojąc w głębi, takt obiema rękoma wymachywał, i często szturchał Mejerka, który zapewne z nieśmiałości kolei swęj dostatecznie nie pilnował.

Wtedy-to w piersi Cipy rozpoczął płynąć ów potok miodu. Jakkolwiek była gospodynią domu, nie potrzebowała wcale myśleć o przyjściu gości. Bardzo to w złym tonie jest, ale cóż czynić. Na wieczorach wokalno-dramatycznych u Szym-szela i Cipy przyjęcia żadnego nigdy nie było. Jeżeli ktokolwiek z gości zmęczony się śpiewaniem, napijał się wody, (czystej wody, bez cukru ani wina) — i koniec. Cipa tedy, nie potrzebując, na wzór innych gospodyń, odrywać się od przyjemności towarzyskich dla gospodarskich zachodów, siadała na ziemi przy samym piecu, obejmowała obiema rękoma podniesione swe kolana, patrzyła i słuchała. Patrzyła na męża i słuchała męża. Gdy inni śpiewali, twarz jęj stawała się obojętną, czasem nawet lekceważącą, wzgardliwą; ale gdy kolej śpiewania przychodziła na wysmukłego człowieka, tego, który w kamizelce i rękawach od koszuli

na stole siedział, wtedy, o! wtedy, mrocznie rysująca się w cieniu pieca, twarz ta uwiedła, ciemna, z czarną peruką, niby z plastrem sadzy nad nizkiem, pomarszczonym czołem, tak rozpromieniała się dumą, okazywała się tak tkliwą, zachwyconą niewymowną błogością, iż, patrząc na nią, każdy rzekłby: „szczęśliwa kobieta!”

Tak, w niezapomniane dla niej te wieczory, Cipa była szczęśliwą, dumną i wesołą. Zapominała o sklepiu, o wierzytelach, o progach, przy których stawały bolejące jej nogi; o schodach, na których brakło jej oddechu, o kucharkach niegrzecznych i rywalkach niegodziwych, stróżach porządku publicznego i wszystkich zmartwieniach swych, a myślała tylko: „Aj! jaki on piękny! i jaki on delikatny! i jak on pięknie śpiewał! jak jego ludzie szanują!” Czasem dodawała: „Pan Bóg łaskaw na mnie! dał mi szczęście!”

Próby ciągnęły się niekiedy do godziny pierwszej i drugiej po północy, ale Cipa ani na chwilę oczu do snu nie zamykała. Starał się także nie zamykać ich nabożny Enoch, siedzący w zwykłym kąci, z burym kotem w objęciach; ale powieki kleiły mu się mimowolnie, a czapczyzna zsuwała się na tył głowy, coraz to, wśród drzémiania, uderzającej o ścianę. Co do innych dzieci: *Liba* leżała na wysokościach matczynej pierzyny, z szeroko wciąż rozwartymi oczyma, z warkoczykiem, który rozplatał się z wolna i opuszczał na błądą jej twarz pasma lnianych włosów; *Esterka* usypiała twardo za plecami ojca, rozciągnięta na stole, z pod którego wyglądały stopy i białe tasiemki śpiącego tuż *Mendelka*. *Lejzorek* budził się czasem i łączył swój ultra-alt z głosami śpiewaków, ale w tych uroczystych chwilach nikt już na niego nie zważał.

*

Purym! Purym! Przed nie wiem już ilu tysiącami lat, okrutny Haman, minister króla Ahaswerusa, umyślił wytepić cały lud izraelski, uratowali go: Mardocheusz — mądrością swą, i królowa Ester — swą pięknnością i dobrocią. Haman został powieszony, a lud izraelski zbawiony od zaguby, i oto aż po dziś dzień lud ten obchodzi rocznicę uratowania swego z radością taką, jak gdyby była nie dwutysięczną którąś tam, ale pierwszą lub drugą, a na pamiątkę Hamanowego powieszenia wypieka ciasta kształtu osobliwego, zwane *Hamantasze*.

Purym! Purym! Wszyscy izraelici miasta Ongrodu porwani są wirem radości i wesołości nadzwyczajnej. Od starców aż do dzieci, od bogaczy do nędzarzy cieszą się wszyscy. (Tylko Rotszyldowie i owi inni bankierowie bodaj że już nie cieszą się!) W każdym domu i domku toczą się w dniu tym długie, rozrzuwione rozmowy o pięknej i dobrej, ach! jak dobrej, królowej Esterze! Wszędzie błogosławią imię jej i imię mądrego Mardocheusza. Szczęśliwi ludzie, ten Mardocheusz i ta Ester! We wnętrzościach ziemi zniknęły aż do ostatniego atomu prochy ich, a pamięć ich błogosławioną jest dziś jeszcze przez miliony serc, i jakich jeszcze serc! oto takich, które nic czulego, nic szlachetnego, nic wspaniałego pojąć ni odczuć nie umieją. Serca te, niskie, samolubne, niewdzięczne, — z radością, rozrzuwieniem i czułą wdzięcznością, po raz dwutysięczny któryś tam, obchodzą święta dobroczyńców swych i zbawicieli.

O! serca niskie, samolubne, niewdzięczne! że jest w was zasób niewyczerpany czułości i wdzięczności, niech świadczą o tém Ester i Mardocheusz!

Szyszel cieszy się wraz z innymi, i przez dzień cały błogosławi Esterę i Mardocheusza, lecz radość jego zmaconą jest nieco uczuciem uroczystego lęku, którego doświadcza, nie przed publicznością, wobec której ma wystąpić, lecz przed wielkością i ważnością przyjętego na siebie zadania.

Gdyby, przedstawiając ludowi tak wielkiego męża, jakim był Samson, ubliżył w czémkolwiek pamięci męża tego, obarczył-by sumienie swe grzechem ciężkim. Nie, on musi być pięknym, wielkim, potężnym, tak jak był tamten! On czuje nawet, że już mu w piersi zbierają fale uczuć jakichś, nigdy przedtém niezaznanych, że pragnienia jakieś potężne, niby tęsknoty, żale i radości nieokreślone rozpierają mu serce, które, w miarę jak zbliża się wieczór, uderza coraz silniej i rośnie, rośnie tak, jakby stawało się coraz szerszém. Przez cały dzień nie mówi nic do Cipy; chciałby mówić, ale nie może.

A Cipa płacze.

Jakże nie ma płakać, skoro w teatrze być i męża na scenie występującego widzieć nie będzie mogła. Na cały wieczór jest zamówioną do pewnej pani, która jej usług potrzebuje

koniecznie. Przytém i sklepiku pilnować będzie trzeba w porze, w której nikt z pewnością wyręczyć jęj w tém nie zechce. Płacze tedy Cipa, biegając, jak zwykle, tu i tam po ulicach, albo w niemocy i żalu siedząc za kontoarem.

Popłakuje téż Liba, krzątając się około gospodarstwa. Ona także nie pójdzie do teatru, gdyż sukienka, którą ma na sobie, jest jedyną jęj sukienką, a że rozpada się w kawałki (w czym ją aż nadto wiernie naśladowują buciki), Libie nie sposób ukazać się pomiędzy ludźmi.

Nabożny Enoch za to obojętnym okazuje się na uroczystość wieczorną, a nawet, mając jęj wiele do zarzucenia z punktu ścisłej ortodoxyi religijnej, dobrowolnie postanawia nie wydalać się z domu.

Esterka za to i Mendele wybierają się na teatr od najwcześniejszego rana, i tylko czekają chwili, w której dzieci sąsiadów (blacharza i malarza szyldów) wybiorą się w drogę, aby pójść w ich ślady. W tym celu Liba prawie jeszcze o świcie obuła małą siostrę w błękitne atlasowe trzewiczki (pocerowane białymi nićmi i związane szaremi sznurkami) i, o ile możności, ukryła białe tasiemki za różowy spencer Mendelka. Lecz dzień miał się już ku końcowi, a ani ojciec nie opuszczał jeszcze domu, ani dzieci Mowszy nie udawały się w drogę. Przy końcu dnia dopiéro, Szymzel, po długiej i żarliwej modlitwie, powolnym krokiem, głęboko zadumany, opuszcza izbę. Za nim, krok w krok, trzymając się za ręce, idą Esterka i Mendele.

W téj-że chwili otwierają się z trzaskiem drzwi domku, stojącego w głębi podwórka, i wypada z niego szumne towarzystwo, złożone z dziewcząt i chłopców, dzieci Mowszy i Icka.

Esterka i Mendelek wydają okrzyk tryumfu. Opuszczają ojca (źle czynią!) i przyłączają się do gromady małych sąsiadów. Ale mali sąsiedzi są wszyscy starsi od nich, dłuższe mają nogi i szersze kroki stawiają. Przytém weseli są niezmiernie, bo poubierali się w stroje prawdziwie świetne (dziewczynki szczególnie jęj jaśnieją całe od świeżo wypranych perkalikowych sukienek i czerwonych chusteczek, okrywających ich głowy), biegną zatém bardzo szybko, z krzykiem, śmiechami i gonitwami, a nie myślą wcale zważać na dwoje malutkich istot, które śpieszą za nimi co siły i tchu, z rozognionemi twarzami i ognistemi włosy, miotanemi przez zimowe wiatry. Nie widzą, ani spostrzegają, że błękitne buciki Esterki grzęzną w śniegu, ale tak grzęzną, że wydobyć je bardzo trudno, i że jarmulka Mendelka wciąż spada mu z głowy.

Dla tych bucików i dla téj jarmulki muszą wciąż się zatrzymywać, przytém i tasiemki te... wymknęły się znów jakoś z pod spencerka i utrudniają i tak już płaczące się kroki Mendelka. A tu kompania wesola i świetna oddala się coraz, oddala... oto już końca zaułka dobiegła... oto już sunie szybko po obszernej i śniegiem okrytej, przestrzeni bulwaru...

Esterka i Mendele dobywają sił ostatnich, dosięgają téż kresu zaułka. Lecz gdzież są ci, którzy krokami ich mieli kierować? Niéma już ich na bulwarze. Rzucili się snadź w boczną ulicę jakąś... zniknęli!

Cóż? iść tak samym, tak we dwoje? Dobrze-by było, ależ...

Przed oczyma téj drobnej pary, która znowu ujęła się za ręce i stoi u wnijscia do zaułka, rozlegają się niezmierzone, nieskończone przestworza bulwaru.

Co za ogrom! a w dodatku nieznanym! Wiek ich sprawił, iż nigdy tu jeszcze nie byli. Jakże teraz w te obce puszcza się krainy? I zresztą, chociaż-by nawet przebyli tę rozległą równinę, kędy dalej skierują swe kroki? Ze wszystkich stron równiny otwierają się długie, przepaściste wąwozy, a turkot w nich i hałas taki straszny! Który właściwie z tych wąwozów prowadzi do miejsca, będącego upragnionym celem ich podróży? Nie mając o tém najmniejszego pojęcia, cóż więc uczynią?

Rzecz prosta. Po długim, nieruchomém staniu i patrzeniu, Esterka ściska swe obie piąstki i przyklada je do oczu, z których wytryska prawdziwa fontanna łez. Mendele naśladuje ją w zupełności, z tą tylko różnicą, że żałośnie i rozdzierająco krzycząc zaczyna: *Tatele!* Esterka, jako starsza, wie dobrze, iż ojciec usłyszeć ich nie może, bo już jest gdzieś daleko... daleko, ale matka bliżej. Poprawia więc brata i krzyczy: *Mamele!* Z wołaniem tém i z piąstkami przy oczach, odwracają się i idą znowu zaułkiem ku domowi...

W téj samęj prawie chwili Szymzel, niewiedzący nic wcale o zgryzocie, która dotknęła dwie jego pocięchy, wchodzi do teatralnej garderoby...

Tu pełno, gwarno i ponsowo, bardzo ponsowo. Ponsowość bije szczególnie od Mowszy, malarza szyldów, który przechadza się po garderobie w pełnym teatralnym swym

stroju, przywdzianym już od południa. Barczysty, silny, z nerwami zahartowanymi i muskułami, rozwiniętymi ciężką fizyczną pracą. Mowsza jest daleko mniej wrażliwym i skrupulatnym od Szymusza. Przypomina, jako cesarz filistyński, nie czuje on na barkach swych zbyt ciężkiej odpowiedzialności, polegającej na potrzebie obudzenia czci i sympatii ludu. Wesołym wtedy czuje się i pełnym dobrych myśli. Widać od razu, że stał się duszą przedsięwzięcia całego.

Wygląda też wcale pokaźnie, jak na monarchę wielkiego państwa przystoi. Ubiór jego składa się z ponsowych, jak krew, *inexprimablów* i takiej-że bluzy, przepasanej złotym galonem. Złota korona z ponsowymi centkami wieńczy mu głowę, a u pasa wisi pałasz prawdziwy, wyproszony i wypłukany u jakiegoś wojskowego niższej rangi. Mowsza jest cały tak ponsowy, że ktoś, nieznający się na rzeczy, mógł-by mniemać, iż grać on ma rolę średniowiecznego kanta.

W gruncie jednak, strój to istotnie monarszy, i monarszo też wygląda oblicze Mowszy, zaopatrzone we wspianiały, kartonowy nos, potężne, węglowo-czarne wąsy, i również czarną, śpiczastą brodę, „à la Napoléon”. Przechadza się po garderobie od kilku już godzin, pałaszem pobrząkuje, z cicha nuci a głośno i energicznie kieruje należytym umundowaniem wojska swego. Armia to nielada: składa się z czterech szeregowców i jednego dowódcy.

Dowódca, przypomina zausznik i pierwszy minister władcy, Icek blacharz, jaśniej cały od złotego kaftana, usianego srebrnymi blaszkami. Z natury jest on brunetem, ale ze brunetami są też Samson i filistyński cesarz, on zatem, dla różnaitości, włożył na głowę perukę, rudą jak ogień, którą przystroił leciuchną rogatywką, tak zieloną, jak trawa w maju. Szeregowcy skromniejsze mają stroje, zawsze jednak o tyle wytworne, że ogólnym wyglądem swym przynoszą zaszczyt swemu władcy.

Wszyscy ci rycerze, jak przystoi rycerzom, wcześniej bardzo przysposobili się do stania na placu boju. Ale Dalila, jako dama, nie jest jeszcze gotową.

Tam, w kątku garderoby, gdzie tak wiele natłoczyło się osób i taki panuje gwar, połączony z jękiem, Mejerka, syn Josiela kuśnierza, ledwie nie mdleje ze wstydu i tajemnej radości, gdy mu na krynolinę olbrzymich rozmiarów wkładają suknię błękitną, a w perukę, spływającą mu na plecy wełnistymi lokami, upinają dwie ogromne, płaskie, ponsowe róże. Twarz Mejerka pulchna, dziecinna jeszcze prawie, ponsową jest jak te róże; wielkie ręce jego (które od lat już wielu dzielnie dopomagają ojcu w kuśnierskich robotach) z głębokim zdumieniem wtłaczają się w paliowe rękawiczki, a z głębszym jeszcze ujmują podawany mu wachlarzyk z różowej materyi. W paliowych rękawiczkach i z wachlarzykiem, Mejerka przyciska się plecami do ściany i stoi prost, sztywno, a ubierające go osoby (płci męskiej naturalnie), z cesarzem filistyńskim włącznie, odstupują o kroków kilka, oglądają go z tej odległości od stóp do głowy, i jednogłośnie, a pełne zadowolenia, wyrażają twierdzenie: „ładna dama”.

W tej chwili wchodzi Szymusz. Garderobę zalega cisza, znak uszanowania. Nie przerywa jej Szymusz ani jednym słowem. Zbliży się do stołu, na którym złożony jest jego teatralny kostium i zaczyna przywdziewać go z tak uroczystym wyrazem twarzy i takim skupieniem ducha, z jakimi zwykle przywdziewa przed modlitwą *tales* i *tefilę*.

Pora też już wielka, aby artyści ukończyli swoje toalety. Sala teatralna kipi niecierpliwością zgromadzonych w niej widzów.

Jaka to sala! gdzie ona znajduje się i jakim sposobem zdobyła ją sobie na wieczór dzisiejszy kompania amatorów? Długo-by opowiadać! Trudności, kłopotów i męczarni wszelakich było z nią niemało. Koniec końców jednak, istniała ona, a wiodła ku niej z ulicy wielka pieczara, *alias* sień, w której mrocznych i mglistych głębinach, przy świetle łojowej świeczki ustawiono bufet, dźwigający na sobie znakomitą obfitość lepkich i miernie ponętnych cukierków, czarnych, jak noc, makagig, nadgniłych jabłek i t. p.

Pieczarą tą płynęły tłumy, płynęły, płynęły, aż wpłynęły do sali bardzo wązkiej, a niezmiernie długiej, z podłogą, ku dogodzeniu widzom, okrytą spadzisto ułożonymi kłocami drzewa. Kłoc te posiadały powierzchnię pół-okrągłą, nie można więc powiedzieć, aby stanie na nich przedstawiało warunki zupełnego komfortu. Przy odrobinie złej woli, znalazło-by się też coś do zarzucenia i oświetlenia; było ono bowiem urządzone w ten sposób, iż oświetlało tylko ścianę i kilka ławek, najbliższej sceny stojących, a przeznaczono-

nych dla najwyższych sfer społecznych, pozostawiając głębie sali w mrokach, ciemnych jak rozpacz.

Orkiestry nie było wcale żadnej (jakkolwiek sztuka, wybrana do grania, jest operą), ale na miejscu, gdzie pospolicie znajduje się orkiestra, stało krzesło, a na niemu siedział Josiel, kuśnierz. Siedział on z twarzą, zwróconą nie ku scenie, lecz ku publiczności, nie artystami bowiem tym razem, lecz publicznością miał dyrygować. Artyści, umiejący doskonale swe role, zwłaszcza przy pomocy i dozorze energicznego i przytomnego Mowszy (cesarza filistyńskiego), dadzą sobie radę wybornie.

Ale publiczność — żywił to burzliwy i niekarny.

W celu więc właśnie regulowania nieprawidłowych częstokroć ruchów publiczności, Josiel, reżyser, usiadł na miejscu tym, gdzie zazwyczaj bywa orkiestra...

I teraz także ludzie, stojący na pół-okrągłych klocach, zaczynają poruszać się i szemrać z niecierpliwością widoczną... minuta jeszcze, a wybuchną wrzawą ogłuszającą. Lecz za szerokimi plecami Josiela podnosi się kurtyna... a głośne szemrania milkną, jak zakłète, a śród tej ciszy grobowej rozlega się przeciągłe, groźne, po kilkakroć powtórzone, ryczenie lwa...

Scena przedstawia pustynią.

W głębi kilka palm rysuje się wśród tła mglistego. Oaza to zapewne, a z oazy tej wychodzi lew potężnych rozmiarów, orzechowego koloru, i z bardzo błyszczącymi oczyma. Król pustyni niedarmo wydał ów ryk straszliwy. Ma on węch wprawny i poczuł snadź zbliżenie się człowieka.

Ale otóż i ów człowiek.

Wychodzi on, tak jak i lew, z pomiędzy palm, tylko z przeciwnej strony. Domyślamy się, iż jest to Samson.

Ale byłże-by to Szymseł?

Co za metamorfoza! Cipa sama, gdyby tu była, nie poznała-by męża swego: wydaje się wyższym, mężniejszym; strój jego, którego kompozycją sam kierował, niepozabawiony jest blasku i powagi. Składa go suknia szkarlatna, olśniewająca złotemi wyszywaniem, i biały, fałdzisty płaszcz, na który spływa las włosów, czarnych jak noc, a długich do pasa. Piersi Samsona okryte są całe dyamentowym naszyjnikiem, a na głowie dźwiga hełm złocisty, z wielkim pióropuszem, zdobnym w dyamenty.

Nie mogą tego utaić przed państwem, że wszystko to złoto jest szychem, a dyamenty, — to blaszki i paciorki. Ale nic niema sfalszowanego w obliczu Samsona: powaga i mężstwo, które malują się na niemu, najczystszej są wody. Znać, że artysta wchłonął w siebie rolę swą tak zupełnie, iż zidentyfikował się z osobą, którą miał przedstawiać.

Śmiały i pewny swęj siły, postępuje on ku królowi pustyni, i błyszczący wzrok jego spotyka spokojnym, trochę nawet szyderskim okiem. Król pustyni, zdumiony tą zuchwałością, podnosi się i staje na tylnych łapach, (Mowsza, przysiadłszy za kulisami, pociąga sznurek, okręcony około tylnych łap króla pustyni) i wydaje ryk przeciągły, straszny, (co za potężne płuca miewają czasem malarze szyldów!) który to ryk słysząc, publiczność truchleje i odetchnąć nie śmie; ale Samsona nic nie przeraża. Jednym podskokiem przesadza on scenę, i zanim przebrzmiał wielki krzyk przerażenia, grozą sytuacji wydarty z łona widzów, rozdziera króla pustyni na dwie równiuteńkie połowy.

— Brawo, brawo, brawo, — wołają na ławkach wyższe sfery, a z mroków, w których pograżone są sfery zwyczajne, odzywają się głosy, radości i tryumfu pełne, a tak wrzaskliwe, że Josiel, kuśnierz, powstaje z miejsca swego, i obiema rękoma machając ku mrokom, woła: — *Sztill!*

Mroki zapadają w ciszę, a Samson, stojąc u brzegu sceny, ukazuje widzom plaster miodu, znaleziony w paszczęce rozdartego lwa, tego lwa nieszczęśliwego, którego dwie połowy leżą z dala od siebie, z oczyma, po śmierci, jak za życia, przeraźliwie błyszczącymi.

Ukazując widzom plaster miodu, Samson całą twarz ma obleconą wyrazem więcej niż miodowej, niebiańskiej słodczy. Rozedrzeć lwa, zdumiewającą w istocie musiało być niespodzianką dla Szymseła, który dotąd ani przeczuwał w sobie sił podobnych. Wiadać, że radość wielka napelnia mu pierś, która podnosi się szerokim, silnym oddechem, i z której też wybucha po chwili pieśń chluby i wesela.

Głos jego jest pięknym, szerokim i dość wyrobionym tenorem.

Pomimo niezupełnie doskonałych warunków akustyki, dźwięki tego głosu napelniają salę od krańca do krańca, a tak są przejmujące i czyste, tak pełnym, wezbranym, płyną strumieniem, że nawet wyższe sfery słuchają ich z przyjemnością nieudaną wcale, a co się tycze sfer zwyczajnych, utopionych w mroku, te, po opadnięciu zasłony, wybuchają tak wielkim entuzjazmem, iż Josiel-reżyser długo i mozolnie pracować musi nad jakimś takim uregulowaniem tego publicznego ruchu, grożącego doszczętnym zniszczeniem wszelkich prawideł porządku.

Odsłona druga nie wiele się różni od pierwszej co do treści, ale forma, w jakiej się objawia, jest wcale inną.

Spostrzegamy niwę, zarosłą zbożem.

Jest tam, conajmniej pięćdziesiąt ździebeł słomy, stojącej w postawie prostej i w przyzwyczajonej od siebie odległości.

Nad zbożem stoi Samson i śpiewa.

Ze śpiewu tego dowiadujemy się, że niwy te są filistyńskie, a on zniszczyć je zamierza. Jakoż, zaledwie skończył śpiewanie swojej arii, nabrzmiałej srogą ku filistynom nienawiścią, wśród zboża z szybkością błyskawicy przebiegać zaczęły rude lisy (tym razem nietylko już Mowsza, ale i zausznik jego, Icko, i jeden z szeregowców, pociągali pewne, im tylko wiadome, sznury).

Za lisami zaś tuż zabłyśły ogniki sine i purpurowe, które paliły się dość długo, aż zgasły i napelnily tak scenę, jak salę całą, gęstym dymem i silnym zapachem siarki.

Sfery wyższe, siedzące bliżej owego pożaru i ulatującego zeń dymu siarczanego, nie dały tym razem żadnego aplauzu, bo zakrztusiły się silnie i na długo, lecz w mrokach panowała radość wielka, której objawów nie poskramiał tym razem Josiel-reżyser, albowiem zakrztusił się także i, chowając głowę w czerwoną chustkę do nosa, kaszlał zawzięcie.

Krztuszenie się i kaszlanie z jednej strony, a gorące oznaki zadowolenia z drugiej, trwają dopóty, aż podnosi się znowu kurtyna, a widok sceny skłania wszystkich do milczenia i uwagi.

Tym razem, pomimo pewnych niedostatków w środkach scenicznych i dekoracyjnych, widok sceny wydaje się zajmującym i malowniczym, nawet zasiadającym ławy sferom wyższym, i za taki uznać-by go mogły sfery, daleko jeszcze od tych wyższe.

U stóp palm, więc w głębi sceny, siedzą trzej starcy judejscy, blisko ku sobie przysunięci i biadają nad nieszczęściami swęj ojczyzny, sprowadzonemi srogą zemstą, wywieraną przez władzcę filistynów za zniszczenie pól filistyńskich przez lisy Samsona, niosące pożar. Odzież starców długa, poważna, białe włosy spływają na plecy z pod wielkich futrzanych czapek, które tylko do połowy zasłaniają im czoła, zorane latami i szlachetnym smutkiem, białe brody okrywają ich piersi, a w drżących od żalu rękach trzymają wielkie kije, na których wspierają chwiejne od starości kroki.

Głosy ich są drżące i wybornie tłómaczą patryotyczną trwogę i boleść, przejmującą ich serca. Słowa ich śpiewu uwiadomają nas, że filistyński monarcha, jako niezbędny warunek do zawarcia pokoju z izraelskim ludem, stawia żądanie, aby „Silny Samson” skrepowany i wydany mu został.

Starcy judejscy postanawiają żądać od Samsona, aby dokonał ofiary i dobrowolnie, w okup zagrożonej i udręczonej srodze ojczyzny, oddał się w ręce wroga. Postanawiają iść do niego i błagać go o to, ale... otóż i on sam nadchodzi.

Scena pełna iście dramatycznego pierwiastku.

Oddać się w ręce wroga!... na pośmiewisko, niewolnictwo srogie, śmierć straszliwą!

Szmyszel, który, odkąd stał się Samsonem, zaznał upojenia chwały i zwycięstw, czuje się teraz zjęty grozą i smutkiem głębokim! Z innej przecież strony, poczucie obowiązku i miłości dla ojczystego kraju wstrząsają silnie sercem jego. Patrzcie państwo, jak mieni się twarz jego! jaka bladeść śmiertelna okrywa mu czoło i policzki! jak oczy jego buchają ogniem namiętym, rozpaczliwym, to znowu przysłaniają się wilgocią bezbrzeżnej litości!

Brawo! brawo!

Nie prostego to aktora widzimy, ale istnego artystę, który, aż do najdrobniejszej fibry istoty swęj, czuje się w tęg chwili mężem, o potężnym ramieniu i wulkanicznej duszy... Walczy długo... potem nagle wyciąga ku starcom judejskim obie ręce, a z piersi wydaje wielki okrzyk: „Wiążcie!”

Okrzyk ten rozbrzmiewa po sali dźwiękiem niezmiernej boleści i wysokiego bohaterstwa: starcy judejscy, krępując ręce i nogi bohatera, płaczą: sfery wyższe mają tu i owdzie łzy w oczach; z głębi oddalonych mroków, wydobywają się jęki i łkania, a Josiel-reżyser nie zwraca już na nie uwagi, albowiem, przyłożywszy sobie czerwoną chustkę do twarzy, płacze także.

Wtém robi się na scenie hałas, brzęk i wielkie tupanie nogami.

Cesarz filistyński wpada na scenę z całym swym orszakiem, i pełną wyniosłej pychy przybiera postawę na widok skępowanego Samsona, którego, płacząc wciąż i wzdychając, wiodą ku niemu judejscy starcy.

Więzién stoi nieporuszony i pełen godności. Milczy i spokojném okiem patrzy w twarz wroga.

Ale twarz ta, opatrzona wspaniałym nosem i bródką „à la Napoléon”, szyderską jest i wzgardliwą. Nie pomni wspaniałomyślnych zasad szewaleryi, władca filistyński i jego towarzysze, pozwalają sobie obsypywać ubezwładnionego bohatera grubiańskimi wymówkami i nieprzyzwoitemi żartami.

Samson cierpi chwilę w milczeniu, lecz potem drżać zaczyna; widać na twarzy jego, jak burza uczuć, ukojona przedtém w rezygnacyi, wzbiera w nim na nowo, jak, wśród krępujących go sznurów, nabrzmiewają jego mięśnie...

Nagle wstrząsa się cały od stóp do głowy, więzy spadają z niego, niby porwana pajęczyna, a zanim filistyni oprzytomnieć mogli, pochyła się i porywa leżącą u stóp swoich... osłą szczękę. Jedno szerokie zatoczenie ramieniem, jedno mgnienie oka... armia filistyńska, z wielkim stukiem upadających ciał, runęła na ziemię, a władca jęj zniknął, sromotną ratując się ucieczką...

Wtedy, w upojeniu tryumfu, w radosném uczuciu uratowania się i uratowania ojczyzny, Szmyszel staje się tak pięknym, jakim nigdy nie widziała go Cipa, piękność jego wiecznie admirująca. Z dziwnym swym orężem w podniesionej dłoni, z drgającym uśmiechem na ustach, które, otwierając się, ukazują zęby śnieżnej białości, w białym płaszczu, który zsuwa mu się z ramion, i złocistym hełmie, którego dyamentowy pióropusz rzuca na jego czoło tęczowe połyski, śpiewa on pełną, wezbraną piersią, hymn chwały i wesela, dzięki składa Jehowie, że mu pozwolił pokonać te „możne tysiące”.

Czy u stóp zwyciężkiego Samsona leżały pokonane „tysiące”? Czy oręż, którym je pokonał, był istotnie osłą szczęką, lub wyglądał raczej na goleń wołu? Mniejsza o to; dość, że Szmyszel był w tój chwili pięknym, potężnym, upojonym, szczęśliwym i, że, gdy spadła zasłona, Josiel-reżyser począł wołać z całej siły: „sztil! szaaa! szaaa!” a potem spostrzegając, iż samym tylko głosem nic nie poradzi, poskoczył z swego miejsca, wpadł w mroki, pograżył się w nich na chwilę, potem ukazał się z jakimś malcem, którego ciągnął za rękę, aż ku drzwiom pieczary (sieni), za któremi malce zniknął...

Biedny malce! nigdy w swém życiu nie widział jeszcze tylu naraz trupów. Martwo leżący filistyni przerazili go tóż nadzwyczajnie, a gdy w dodatku jeden z nich (podobno zausznic cesarza), w czasie długiej aryi Samsona, zaczął się poruszać, zapewne w celu przybrania dogodniejszej pozycyi dla wiecznego spoczynku, malce wrzasnął z całej siły, w czém doskonale poczęli go naśladować rówieśnicy. Utworzył się z tego chór, całkiem nieprzewidywany w pierwotnym układzie opery; Josiel położył jednak koniec temu nieregularnemu ruchowi audytorium, przez podanie przywódcy ruchu absolutnemu ostracyzmowi.

Zaledwie Josiel zdołał wrócić na swoje miejsce, gdy zasłona podniosła się z wolna.

Tym razem widzimy rzecz całkiem nieprzewidywaną.

Pośrodku sceny stoi... nie myślcie państwo, aby to była budka, w której się sprzedaje woda sodowa. Jest to pałac, w którym mieszka piękna i wabna filistynka, Dalila. Drzwi pałacu są otwarte i przyozdobione festonami perkalowej firanki, z brzegami wyciętymi w zęby (zupełnie, jak w budkach z wodą sodową). Z jednej strony ściana pałacu jest ślepa, z drugiej ma jedno okno.

Za franką, na wiedeńskim krzeselku, siedzi Dalila, w błękitnej sukni, rozpiętej na ogromnej krynolinie, z różowym wachlarzykiem w ręce. Siedzi i wielkimi dziecinnemi oczyma, które wśród jęj twarzy wyglądają jak niezabudki w bukicie z piwonii, patrzy wprost na publiczność. Potém wstaje i wychodzi z-za firanki. Zaczyna śpiewać.

Bas wcale ładny.

Śpiewa o tém, iż wdziękami swemi uwieść musi Samsona, aby następnie wydrżec mu tajemnicę jego dziwnéj siły.

Dalili trochę niezręcznie jest poruszać się w długiej sukni, i przytrzymujących ją żelaznych obręczach; oprócz tego, jest mocno zakłopotaną różowém narzędziem, które trzyma w ręce, a z którym nie wie sama, co jéj czynić wypada.

Wełniste loki, opływające jéj czoło i plecy, zwiększają gorąco, które uczuwa na widok tych mnóstwa oczu, w jéj twarz wlepionych. To téż basowy jéj głos drży i wpada w tony tak już niskie, że aż zupełnie nie są właściwe delikatnéj kobiecej piersi, a błękitne oczy rosą się łzą niewymownego udręczenia...

Wszystko to przecież jest niczém.

Szymszel nie widział nigdy w życiu kobiety tak pięknej, jak ona.

Czy, wchodząc na scenę, spostrzegł on istotnie tę Dalilę, która się tam znajdowała? Niewiadomo. Słyszałam jednak potém, że Szymszel, wchodząc na scenę, zamiast ponsowéj twarzy, niezabudkowych oczu i wełnistych loków Mejerka, widział śnieżnie białe lica, uwieńczone kruczym, lśniącym warkoczem, i patrzące na niego dwiema gwiazdami płomienistych źrenic.

Widział w tych czarnych źrenicach łzę marzenia i żar namiętności, a postać, która stała przed nim, była wysmukłą, gibką i, niby od niebios rozgrzanych wschodniém słońcem, wiały od niéj tchnienia upalnych rozkoszy Wschodu.

Tego, co czuł Szymszel w téj chwili, nie zaznał nigdy i nazwać-by nie umiał, ale, gdy zbliżył się do uroczego widma, które stało przed jego wzrokiem, i gdy śpiewać do niego zaczął, głos jego miał takie miękkie lub gorące, błagalne lub gwałtowne tony, iż Dalila szeroko od zdumienia rozwarła swe błękitne oczy, a potém, kiedy wypadło jéj z roli podać mu rękę, czyniła to z widoczną trwogą.

Szymszel ruchem gwałtownéj radości pochwycił rękę, nie tę, która trzymała wachlarz, ale drugą, i przyciągając Dalilę do swych piersi, złożył na jéj ustach taki pocałunek, że, do reszty nim przestraszona, wyrwała się z objęć jego i usiadła na jedném z dwóch wiedeńskich krzeselek, umieszczonych przed krążankiem jéj pałacu.

Oprzytomniawszy nieco, Szymszel usiadł na drugiem krzeselku i zaczął się duet.

W tym-to duecie rozstrzygnęły się losy Samsona. Skrytym był i do zbadania niełatwym, ale wdzięki Dalili pokonać zdołały opór najwytrwalszy. Daremnie, stojąc przed nią, najbardziej przekonywającym, najbardziej błagalnym głosem śpiewał jéj: „*Dos ist nyt dein Geschäft*”. Zwodna zalotnica wiedziała dobrze, iż interes to był ważny dla niéj, i dopóty śpiewała basem (Szymszel, zamiast basu, słyszał najcudowniejsze mezzo-soprano), dopóty z wielkiego wysilenia roztwierała znużone, dziecinne oczy, (Szymszel, zamiast tych oczu, widział dwa czarne, gorejące brylanty), aż znużony walką i pokonany miłością, ujął w obie dłonie swe ogromne włosy, i pokazując je czarodziejce, wyśpiewał: „W nich siła moja”.

Dalila powstała, tryumfalnie skinęła różowym wachlarzykiem, poprawiła osuwającą się na czoło płaską, ponsową różę, otarła kroplisty pot z amarantowéj twarzy, splunęła i podała rękę zwyciężonemu bohaterowi.

Ponowny pocałunek i ponowny przestrach Mejerka, który nie może pojąć, dlaczego Szymszel z taką czułością obejmuje jego kibić, i tak silnie do jego ust przykładła swe usta. Poczém rozkochana para znika w głębi pałacu zwodzicielki, za firanką wyciętą w zęby...

Zjawiają się Filistyni. Cóż widzimy? Ci sami, którzy w akcie trzecim polegli z ręki Samsona. Tém sroższą po zmartwychwstaniu czuć muszą nienawiść ku swemu mordercy. Czekają na Dalilę, skradają się pod drzwi pałacu, zaglądną przez jedyne okno, wymieniają między sobą tajemnicze znaki... Lecz otóż i ona!

Wychodzi z-za firanki, i trzymając w jednéj ręce różowy wachlarzyk, w drugiej niesie wielki zwój długich, kruczych włosów. Pomiędzy Filistynami radość nieopisana. Sam cesarz na znak dziękczynienia ścisną dłoń Dalili. Rycerze dobywają broni z pochw i z krzykiem zajadłej zemsty rzucają się na wychodzącego z pałacu Samsona. Samson niepodobny do siebie. Bez hełmu, bez włosów, bez białego płaszcza, wpada w ręce swych wrogów, którzy, nie czyniąc długich ceremonii, oślepiają go na oboje oczu.

Zasłona spada, wśród audytorium panuje grobowe milczenie grozy, i tylko w mrokach słychać szlochania.

Słusznie lży leją litościwe dusze. W teatralnej garderobie, Samson siedzi na tej ławie, na której posadzili go Filistyni, blade śmiertelnie, ciężko dyszący, z zamkniętymi oczyma.

— *Rebe* — mówi do niego Mowsza — spójrz na ten pałac, który masz przewrócić na scenie... Może on za ciężki dla ciebie... można go zmniejszyć...

Ale w piersi Szymusza szemrzą głuche jęki.

— Wrogowie odebrali światłość źrenicom moim — szepcze boleśnie — jestem ślepy i oczy moje nie ujrzą nigdy wielkich dzieł Przedwiecznego!

— *Hörste!* — mówią Filistyni do siebie i zamieniają zdziwione spójżenia.

— On myśli, że my jemu naprawdę wyłupili oczy.

Wtém przez garderobę przesuwa się Dalila. Szymusz usłyszał szelest jej sukni i podniósł powieki.

Oczy jego ciskają błyskawice gniewu i rozpaczy, ciemne rumieńce wytryskają na bladą twarz.

— Co ty mnie narobiła? co ty mnie narobiła? Ty mnie zgubiła! Ja przez twoją wielką chytrąść moje oczy stracił, w niewolę się dostał i — przepadł!

Wykrzykując te słowa coraz gwałtowniej i głośnie, ściska pięści i rzuca się ku Dalili, która, przelękniona, upuszcza z ręki różowy wachlarzyk i ucieka w najdalszy kąt garderoby, gdzie się zasłania długim, kwiecistym szlafrokiem jednego z judejskich starców. Zasłania ją też szerokimi piersiami Mowsza, a nie śmiejąc podnieść dłoni na uczynego męża, wyciąga tylko przed obie się ręce i woła głosem, pełnym perswazyi:

— *Rebe! ajwaj Rebe!*

Uniesienie Szymusza trwa przecieź krótko i zmienia się wnet w rzewną, głęboką żalność. Opada na ławę, opuszcza ręce, zamyka powieki i zaczyna jęczeć.

— Oj! oj! ja na twoją twarz, jak na rajski kwiat patrzyłem! Usta twoje były dla moich ust potokiem miodu, a twoje oczy paliły się przede mną, jak wielki płomień, i całe moje serce przed nimi topniało! A ty mnie tak źle zrobiłaś! Ja przecieź, Dalilo, przepadłem!

Nikt już nie zważa na rzewne skargi oślepionego bohatera, z wyjątkiem Dalili, która, ogłaczając swą głowę z loków i róż, z trwogą spogląda na niego.

Na scenie stoi pałac, inny całkiem, niż przedtém, złożony z dwóch kartonowych filarów, połączonych u góry kartonowym gzemsem. Około filarów Filistyni uczują, cieszą się, śpiewają, a ku większej swęj radości rozkazują wwiesić w monarsze progi oślepionego więźnia. Samson, wprowadzony przez dwóch szeregowców, stoi z zamkniętymi powiekami, nie trwożny, lecz tylko śmiertelnie smutny.

Przypatrzcie mu się państwo uważnie: zdawało-by się, że przez tę upłynioną godzinę schudła jego twarz. Blade jego policzki wydają się zapadłemi, a zamknięte oczy otaczają ciemne koła. Można-by rzec, iż twarz to strawiona namiętnością, nienawiścią, rozpaczą...

A Filistyni śmieją się, stroją z niego najróżniejsze żarty, opowiadają mu o spustoszeniach i zemstach, które roznoszą po jego ojczyźnie, a on, więzień, ślepiec, bezsilny atleta, nie może jej już bronić...

Daremnie tam kędyś płaczą judejscy starcy, daremnie jękami swemi napełniają powietrze judejskie niewiasty, a najwaleczniejsi mężowie krwią swą zlewają spalone niw judejskich rozłogi... Samson nie osłoni już ojczystej ziemi swęj piersią, której odebrana wszystka jej siła, nie dojrzy przeciw wrogom jej oręza oczyma, którym odebrana wszystka ich światłość...

Szymusz słucha żartów, naigrawań i tryumfalnych opowieści wrogów, i z wolna podnosi głowę... Omackiem, chwiejnym krokiem, wychodzi z pałacu, staje z drugiej strony filarów i śpiewać zaczyna. Jakże głęboką, bezbrzeżną boleścią nabrzmiały jest głos jego! jak wysokości skali tonów dosięga! jakie napełniają go rozpaczne wołania i prośby! Woła do Jehowy o siłę, o tę dawną siłę swoją, której pragnie na chwilę jeszcze, na jedną chwilę, na mgnienie oka.

Wołając tak, ręce drżące i twarz bladą swą, o zamkniętych oczach i ustach, okrążonych wyrazem męczeńskim, podnosi w górę.

Istotnie, gdy stoi teraz przed nami, w ramach kartonowych filarów i oświetlony lampką z długim kominem, którą jeden z Filistynów trzyma mu przy samej twarzy, ma pozór męczennika, ale takiego męczennika, który boleje „bólem milionów”.

Lampka owa, trzymana mu przy twarzy (zapewne dla lepszego oświetlenia obrazu), parzy mu strasznie policzek. Odręca ją gięstem energicznym, gniewnym, obiema rękoma

chwyta za filary, wstrząsa nimi i obala je na Filistynów, którzy też wszyscy z wielkim loskotem padają na ziemię...

Zabici wszyscy i Samson zabity.

Martwe ciała poległych leżą pod gruzami pałacu i mienia się wśród przyciskających je filarów szkarłatnymi, żółtymi, zielonymi barwami odzieży. Zasłona spada... publiczność wybucha frenetycznymi okrzykami.

Sfery wyższe i zwyczajne, ławki oświetlone i utopione w mrokach, kloce pół-okrągłe, łączą się, w jednym ogólnym uczuciu, klaszczą w ręce, śmieją się, płaczą, biadają, przywołują Samsona, cesarza, Dalilę, starców judejskich, a Josiel-reżyser nic już nie ma przeciw tej całej wrzawie i poskramiać jej nie myśli, a tylko, wsparłszy się o brzeg sceny, smutny jakiś stoi, bo oto już koniec uroczystości, o której myśl przez parę miesięcy wlewała trochę wesela w mozolne, monotonne życie ubogiej garstki ludzi.

*

Po skończonym przedstawieniu, artyści nie zdejmują teatralnych kostiumów swych, ale owszem, dopełniają je pociesznymi dodatkami różnymi, a że są zmęczeni trochę, już w garderobie wypijają parę butelek miodu i rozpoczynają chóralną, wesołą, rozgłosną pieśń. Z pieśnią tą wychodzą na ulice miasta, dążąc do mieszkań bogatych kupców i możnych właścicieli kamienic miejskich. Tam oczekują ich sute, gościnne przyjęcia, tam tańczyć oni będą, śpiewać, i weselić się przez noc całą, a niejedną pieniążek srebrny, niejedną nawet asygnatę rublową wpadnie im w ręce, i z rąk ich przejdzie nazajutrz do kasy ubogich, którą samo już przedstawienie zaopatrzyło obficie i na długo.

Ale wśród wesołej i gwarniej gromadki tej, która teraz właśnie, z wybuchami pieśni i śmiechu, wstępuje na dość szerokie wschody, wiodące do mieszkania kupca Rozendorfa, Szymusza niema.

Tam, ulicą mroczną, gdzieniegdzie tylko oświetloną słabym płomykiem latarni, samotnie kroczy wysmukła postać męzka. Gdy przechodzi około rzadkich słupów z latarniami, biją od niej połyski szkarłatu, złota i dyamentów, któremi jest okryta; gdy zatapia się w mroku, płaszcz jej długi i faldzisty bieleje i rozwiewa się, niby ramiona widma. Samotną jest postać ta, ale nie smutną. W pełnym powagi stąpieniu jej znać lekkość i siłę, a z piersi jej, to przyciszonymi, to rozgłosnie wybuchającymi tony, wypływa wielka arya tryumfu.

Szymusz, po zgruchotaniu Filistynów i siebie samego obalonemi przez się ścianami pałacu, — zmartwychwstał, przejrzał, zapomniał o wszystkich przebytych upokorzeniach i męczarniach, lecz ani na jedno mgnienie oka nie przestał być jeszcze „Silnym Samsonem”. Owszem, idąc teraz z ulicy w ulicę, pomiędzy ścianami murów, o zgasłych już i gdzieniegdzie zaledwie świecących się jeszcze oknach, przebiega pamięcią wszystkie wielkie czyny, które dokonał, i czuje się przepelnionym radością i dumą.

Niekiedy błyska mu w pamięci wspomnienie zwodnej, niewiernej Dalili... wtedy tęsknota jakaś, jakiś żal, ściskają mu serce. Wnet przecież przypomina sobie ojczyznę Judeję, którą uratował od krwi, leż i pożóg; podnosi wysoko głowę, uśmiecha się, śpiewa głośniej, radośniej, i po nierównym bruku mrocznej ulicy stąpa, jak po wawrzynach.

W ten sposób Szymusz przeszedł bulwar i wszedł w zaułek. Machinalnie, z przyzwyczajenia, kierował się ku mieszkaniu swemu i, ani myśląc o tém, co czyni, śpiewając wciąż, dotknął ręką klamki niskich drzwiczek i stanął w progu swjej izby.

Stanął i przez parę minut stał w nieruchomości kamiennjej.

W izbie, na stole, u okna, paliła się lampka, z której długiego kominka wił się ku górze dym żółtawy, cuchnący. Dalej szare, niskie ściany, łoża z pierzynami, porozrzucana na ziemi i kufrze stara odzież, podarta i brudna, kilka ludzkich postaci mniejszych i większych, tu i owdzie leżących we śnie, tworzyło w zmroku chaos, całkiem z razu oczom i myśli jego niezrozumiały. Zrozumiał go po minutach kilku i — obudził się.

Pierzchnął od niego cudowny, upajający sen; zrozumiał, że nie jest Samsonem, owym potężnym atletą i poetycznym bohaterem Biblii, ale Szymszem, synem Gerszuna, uczonym czasów dzisiejszych, który przeszłość swą spędził i przyszłość całą spędzić ma w tej ciasnej, szarej izbie, nad tą księgą, która i teraz, jakby dziwiąc się opuszczeniu, w którym

ją pozostawiono, leży rozwarta na stole, z długimi wierszami, wijącemi się nakształt węży pod światłem lampki.

Rzecz dziwna! Przy spojrzaniu na księgę, wyraz niesmaku, prawie wstrętu, przyoblekał zbladłą twarz Szymusza. Odwrócił od niej oczy i, z wolna bardzo postąpiwszy kroków parę, siadł na stoiku przy stole. Widocznie patrzeć nie może na księgę, bo wciąż odwraca od niej wzrok niechętny i smutny. Głęboka zmarszczka powstaje pomiędzy brwiami jego i rzuca mu na twarz całą wyraz posępną, jakby gniewnej zadumy.

Zakosztował życia czynu, ofiary, dręczących, lecz zarazem rozkosznych, kolei cierpień i szczęścia, klęsk i tryumfów. Aż oto był to sen tylko, i wracać mu teraz przychodzi do martwych kart, o żółtym obliczu, do siedzącej wiecznie, pół martwej, postawy, do dumań nieskończonych, rozróżnień subtelnych, studyów mozolnych.

— A co z tego wszystkiego wyniknie dla mnie i — dla ludzi?

Pomyślał o ludziach... A cóż on pocznie teraz z tą gorącą, rzewną miłością dla ludzi, która tam na deskach teatralnych płonęła w potężnym łonie Samsona i pozostała już w słabej piersi Szymusza — czuje on silnie, że pozostała na zawsze! Czém ją wyrazi? ku czemu ję użyje? Jakiemi czynami będzie mógł uspokoić ję palące żądze? A cóż pocznie z przecuciem tęj, innej miłości, roznieconém... płomienném okiem i gibką kibicią Dalili-widma; z przecuciem miłości tęj tkliwej i upalnej, która, goszcząc w wielkim sercu Samsona, napelniała je łzami i westchnieniami niewymownej tęsknoty...

Idealy!

Szymusz nie znał imienia ich, ale, gdy raz przeleciały mu przed wzrokiem, przywiązał do nich duszę. Przeleciały mu przed wzrokiem idealy czynu, miłości, chwały... O! kędyż zniknął, dlaczego stał się tak drobnym, jak atom piasku, dawny, jedyny ideał jego suchy, subtelny, jałowej uczoności?... Czyliżby w piersi i głowie tego żyda, o smukłym nerwowym ciele, wytwornych rysach, głębokiej źrenicy i cienkich ustach, które drżą od każdego wrażenia, jak delikatny liść od powiewu wiatru; czyliż-by w głowie i piersi żyda tego, który twarz dzieci zwykł był okrywać namiętami pocałunkami, a wśród ciemnych nocy miewał anielskie widzenia, istniały nieznanne, nieuprawne warstwy uczuć, imaginacji i zdolności tych, które, gdy znane są i uprawiane, czynią człowieka sposobnym do ukochania ideałów i sięgania po nie silnym, natchnionym ramieniem?

Pochylił głowę i spojrzął po całym swym ubraniu.

Dziwny uśmiech przewinął mu się po ustach.

Biały płaszcz Samsonowy owijał mu kolana i stopy miękkimi zwojami, szkarłatna szata rzucała połyski złote, paciorki naszyjnika okrywały mu jeszcze pierś, przy świetle lampki, blaskami rubinów, szmaragdów i srebra, a na czole czuł muskanie pióropusza, zwieszającego się z rycerskiego hełmu. Uśmiechnął się dziwnie, długo, aż podniósł ręce i powoli zdjął z swęj głowy pozłocisty hełm z pióropuszem. Postawił go na stole i wpatrzył się w nego gorejącemi oczyma, z których po chwili stoczyły się na blade policzki dwie duże łzy.

— Żegnaj mi, silny Samsonie! Mężu wielki, któryś mnie nauczył, że są na świecie bohaterские czyny, wielkie miłości ku ludziom, piękne Dalile i... mali, słabi nieszczęśni Szymusze!

Dowiedział się, że nigdy nie był wielkim, ani mądrym, ani szczęśliwym... I załamał ręce tak gwałtownie, że aż kości zatrzęszczały w stawach, a potem założył je sobie na szyję i rozpinać począł naszyjnik swój z rubinów, szmaragdów i srebra. Rozpiął go, zdjął i w obu rękach trzymał przed sobą, a z-za tęj sieci błyszczących sznurów błyskały czarne źrenice jego, nabrzmiewające znowu wielkimi łzami.

— Żegnaj mi, silny Samsonie, mężu wielki!...

W tęp podniósł powieki, i ręce, trzymające naszyjnik, opadły mu na kolana. Ujrzał przed sobą widok, o którym nie wiedział z razu, co oznaczał. Naprzeciw niego mroczna głęбина izby usiana była sześciu parami żywo połyskujących punkcików. Punkciki te były oczyma ludzkimi i połyskiwały z różnej wysokości i w różnej od siebie odległości, ale ludzkie postacie, do których one należały, całkiem się kryły w cieniu. Wszystkie te sześć par oczu tkwiły w twarzy Szymusza, a wyrażały podziw, zachwyt, radosne zdumienie. W chwili, gdy opuścił na kolana ręce z naszyjnikiem, punkciki te czarne, błękitne, szare, lecz wszystkie rozpalone błyszczącą iskrą, poczęły posuwać się ku niemu, w górze zaś,

najwyżej, dojrzał jeszcze dwa inne światełka, złote całkiem, podobne do dwóch dukatów, a z miejsca, w którym świeciły, wychodziło monotonne, głośnie mruczenie.

Był to kot bury, który siedział w wysokim otworze pieca, patrzył na pana domu i mruczał. Poniżej znajdowała się cała gromadka rodzinna, uśpiona w chwili przybycia Szymszela, lecz która się potem obudziła i, siedząc na ziemi, każde na tym miejscu, na którym znalazło go obudzenie, wpatrywała się w świetny strój męża i ojca.

Siedzieli tak wszyscy i patrzyli od dawna, tamując oddech w piersi, aby nie spłoszyć widziadła w szkarłatach i złocie, które wydało im się sennym zjawiskiem. Potem Cipa pierwsza wysunęła się z mroku, chyłkiem jakoś, cicho bardzo, bardziej pełznąca, niż idąc, ku kolanom męża.

U kolan przysiadła znowu, podniosła ciemną, pomarszczoną twarz, otoczoną brzegami czarnego, okrągłego czepca, włożonego na noc zamiast peruki, spłotła ręce na wutowanej spodniczce, z pod której wyglądały stopy w niebieskich pończochach, otworzyła usta i patrzyła mu w twarz oczyma, utopionemi w miodzie czułości.

Za nią wyłoniły się z cienia ognisto-włose główki Mendelka i Esterki, Enoch wychylił bladą i chudą twarz swą, nad którą sterczał zmięty daszek zsuniętej w tył czapki, Liba stanęła za wszystkimi, z warkoczykiem rozplatającym się w płowe pasma, i z Lejzorkiem na ręku.

Milczeli wszyscy.

I Szymszel milczał długo, patrząc z kolei na postacie te, które teraz otoczyły go już z blizka.

Potém ogarnął je wszystkie jedném spójrzeniem i, szybko ukrywszy twarz w obie dłonie, zaniósł się głośnym, jęklwym płaczem.

Wśród płaczu mówił:

— Biedne moje dzieci! oj biedne, biedne wy, moje rybki, brylanty! Co ja dla was zrobię? Co ja dla was zrobić mogę? Ja sam biedny, słaby, mały i taki — ciemny, i taki — głupi! i wy będziecie zawsze biedne, małe, i ciemne, i głupie!

Nagle płakać i jęczeć przestał, ze stolka zerwał się i, przed oknem stanąwszy, w ciemności wzrok swój pogrzeżył. Stał tak chwilę, aż ujrzał znowu... wielką, długą pręgę złotą, która na tle czarnej nocy utworzyła złotą drabinę, ze szczeblami pełnemi aniołów, i z białym, litośnym, cierniami uwieńczonym, a wianki wijącym aniołem modlitwy u szczytu.

Zwrócił się Szymszel ku gromadce swój rodziny i z rąk Liby pochwycił małego Lejzorka...

Wtedy, gdyby ktokolwiek stał na ciemnym podwórku, za okienkiem, w którym błyszczało mdle światło lampki, ujrzał-by był obraz szczególny.

W głębi mrocznej izby, na tle jej najdalszém, połyskiwały wciąż, jakby zawieszzone w powietrzu, złote oczy kota, bliżej odbijały od tła mrocznego blade, ściągłe twarze Liby i Enocha, których usta otwierały się od zdumienia, bliżej jeszcze, Esterka i Mendelek stali, trzymając się za ręce i szeroko roztwierając błękitne oczy swe, kryjące się prawie w opadającej na czoła ogromnej gęstwinie ognistych kędziurów; przy nim Cipa, w okrągłym czepku, oblepiającym jej głowę, przelękniona i zasmucona płaczem męża, splatała na piersi ciemne swe dłonie; a najbliżej, tuż przy oknie, wysmukły żyd z roztarganemi czarnemi włosy, w szkarłatnej sukni, błyszczącej złocistém wyszyciem, pochylał się nad stołem, w obu wyciągniętych rękach swych, trzymał dwuletnie dziecko w szarej koszulinie i, przykładając je do samej prawie szyby okna, a kędyś w górę, w górę, posyłając błagalne, łzawe spojrzenie, z całej piersi swój wołał:

— Sandalfonie, Sandalfonie! prosz Jehowę, żeby zrobił go „Silnym Samsonem!”

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/silny-samson>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Z różnych sfer*, tom IV, nakład i druk S. Lewentala, Warszawa 1886.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0651-1

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).